Cena zł 20 + 1 na fundusz dzieci „CARITAS"

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV | Warszawa, 1 lutego 1948 r. | Nr 5 (114)

Kazimierz Koźniewski

IDZIE ROK 1948

Idzie rok 1948.

Jak wszystkie lata poprzednie, wszystkie następne, niesie on problemy życia narodowego i społecznego, wobec których każdy z obywateli musi się jakoś ustosunkować, musi zająć jakąś osobistą, własną postawę. Są to problemy polskie, ogólno polskie, o których grupa ludzi mająca ambicję świadomego uczestniczenia w rozgrywającym się wokół nas procesie historycznym, musi mieć zdanie zupełnie wyrobione. Choćby tylko dlatego, by nie dać się zaskakiwać zbyt drastycznie wypadkom, które mogą mieć miejsce.

Bodaj najważniejszym jest ustanowienie sobie hierarchii wartości spraw rozgrywających się wokół nas. O zagubienie poczucia tej hierarchii jest niezwykle łatwo w wirze i chaosie wydarzeń codziennych, to nadmiernie ludzi radujących, to nadmiernie smucących. Pamięć historycznych proporcji wypadków jest niezwykle ważną, gdyż stwarza ona poczucie wysiłków, jakie trzeba włożyć, czy jakich można sobie oszczędzić. Dla narodu, który ma zwyczaj nadmiernego zużywania swoich sił, sprawa ich oszczędzania jest nierównie ważniejsza, niż szafowania nimi.

I. Polskie proporcje międzynarodowe — są odmienne aniżeli proporcje innych państw na świecie. Już tylko dlatego, że nie ma dwóch narodów o tej samej liczbie ludności, bogactwach kulturalnych i naturalnych i położeniu geograficznym — a to są właśnie elementy narzucające hierarchię spraw i ustawiające ich perspektywy.

Niżej podpisany należy do tych którzy radzi są widzieć na arenie międzynarodowej możliwie najspokojniejszą rolę własnego państwa. Jestem niestety minimalistą, będącym zdania, iż w tej chwili sprawa polska nie jest wcale dla świata sprawą zbyt wielkiej wagi, że nie budzi ona takiego zainteresowania, jak nam się to zwykle wydaje, że w żadnym wypadku nie jesteśmy w stanie w tej chwili w ogólnoświatowym koncercie politycznym odegrać decydującej roli.

Dwie są sprawy o charakterze międzynarodowym ważne dla nas w tej chwili, w których jesteśmy zupełnie bezpośrednio zainteresowani.

A) Pierwsza z nich to sprawa podziału świata na dwie części, ściśle łącząca się poprzez zagadnienie niemieckie z kwestią naszej granicy zachodniej.

Jedną z najbardziej kapitalnych umiejętności politycznych jest wyczucie aktualnej ważności jakiegoś zagadnienia dla współcześnie żyjącego i tworzącego pokolenia. Rozgrywające się światowe wypadki i prądy narzucają poszczególnym narodom albo pewne wyraźne zadania czy możliwości, które należy wykorzystać lub które należy ominąć, albo też stawiają pewne szranki, których narody nie powinny w danym czasie przekroczyć, jeśli nie chcą narazić się na niebezpieczny konflikt z patetycznie nazwanym „duchem czasu". Wyczucie owego „ducha czasu" jest cechą po której historycy poznają prawdziwe wielkości polityczne.

Wypadki dziejowe ostatnich lat dziesięciu postawiły przed nami zupełnie konkretne zadanie historyczne, które wprawdzie dla wielu mogło być nieoczekiwane, ale które już w tej chwili może być uznane za naczelne dla naszego pokolenia. Zadaniem naszego pokolenia jest całkowite związanie Ziem Odzyskanych z Polską, uczynienie z nich zupełnej jedności gospodarczej, narodowej i politycznej. I co najważniejsze i najtrudniejsze — przekonanie całego świata o tym, że Ziem tych nie trzeba Polsce odbierać, że nie można ich odebrać. Poprzednie pokolenia miały inne zadania historyczne, następne pokolenia mogą mieć też inne zadania historyczne. Naszym zadaniem są Ziemie Odzyskane.

Tak już zwykle bywa w dziejach politycznych ludzkości, zwykle po wielkich wydarzeniach historycznych, takich jak zmiany ustrojowe, terytorialne i t. p. — następują dwa etapy, dwa okresy. Pierwszy, kiedy państwa trzecie, które z różnych powodów są z tych zmian niezadowolone, są one im nie na rękę — kwestionują słuszność zmian terytorialnych, występują przeciw zmianom ustrojowym. Próbują podważać, wichrzyć, i stosując cały asortyment przeróżnych posunięć dyplomatycznych i politycznych, próbują zlikwidować powstały stan rzeczy. Jeśli to się im nie uda — następuje drugi okres. Wobec wydarzeń dalszych, narastających w całym świecie, sprawy przeszłe powoli zapadają w historię, same stając się fundamentami spraw zupełnie nowych. Światowa opinia zaczyna się do nich powoli przyzwyczajać i traktować je jako **status quo ante,** a nawet gotowa jest przeciw ich naruszeniu przez nowego (nic na świecie nie ustaje i nie ma końca!) intruza gorąco protestować.

W stosunku do naszych Ziem Zachodnich trwa właśnie ten pierwszy etap. Stworzona po wojnie geo-polityczna sytuacja jest atakowana i podważana. Minie jednak pewien okres czasu, świat przyzwyczai się do tego, że Wrocław i Szczecin są polskie, a nawet zauważy, że ziemie te wydajniej owocują dla ogólnego dobrobytu Europy pod polskim, niż pod niemieckim, pługiem. Oczywiście, im szybciej przekona się świat o walorach polskiej gospodarki — tym krótszym będzie czas pierwszej próby.

W tej chwili trwa ona jednak. Zadaniem naszym jest przeprowadzić status quo na zachodzie Polski przez lata niepokoju. Dokonane to będzie wtedy — gdy Niemcy będą rzeczywiście pokonane i gdy sprawa niemiecka nie będzie kością niezgody między dwoma zasadniczymi potęgami światowymi: ZSRR i USA.

W tej chwili USA dąży do podważenia naszego stanu posiadania na Zachodzie. ZSRR zaś stanowczo popiera naszą granicę na Odrze i Nyssie. Zanim nie dojdzie do ujednolicenia i uspokojenia światowej sytuacji politycznej, tym samym do odrzucenia karty niemieckiej i pogodzenia się z naszym status quo — jedynym konkretnym gwarantem naszego obecnego stanu posiadania na Zachodzie jest Związek Radziecki. Sojusz nasz z Rosją Radziecką jest w tym etapie naszej historii logicznym nakazem międzynarodowej sytuacji politycznej, gdyż jedynie dzięki niemu będziemy mogli spokojnie gospodarować tak długo na Ziemiach Odzyskanych, aż gospodarka wyda owoce przekonywujące innych o gospodarczych korzyściach takiego stanu rzeczy.

Celowo nie piszemy w tym miejscu o sojuszu ze Związkiem Radzieckim w całym otoku historycznym, ideowym czy uczuciowym jak robią to inni. Uważamy, iż o sojuszach, o ich sensie i trwałości, decydują przede wszystkim sprawy polityczne i gospodarcze.

To sprawa pierwsza.

B) Druga tyczy się tej części Europy — więc tutaj rola nasza już jako podmiotu może okazać się zupełnie zasadnicza.

Tak się złożyło, że po raz pierwszy od wielu, wielu wieków państwa Europy tak zwanej środkowo-południowej: Bułgaria, Jugosławia, Rumunia, Węgry, Czechosłowacja i Polska posiadają zbliżone do siebie formy rządów, na czele tych państw stoją politycy o podobnych ideologiach, wreszcie łączy je szereg wspólnych interesów politycznych. Wszystko to razem niesłychanie ułatwia bliską wzajemną współpracę, jaka wykracza poza dziedzinę ściśle polityczną, i rozciąga się również na sprawy gospodarcze, kulturalne.— a tym samym ułatwia powstawanie w tej części Europy pewnej ponad-narodowej wspólnoty. Proces ten, którego skutki przerosnąć mogą bieżącą chwilę polityczną, nie może być przez Polskę nieopatrznie zapoznany. I to nie tylko w działalności ministrów stosownych resortów — tutaj zapoznanie raczej nie grozi! — ile właśnie w pojęciach zwykłych obywateli.

II. W aspekcie wewnętrznokrajowym dwie są dominanty nadchodzącego okresu.

Sprawy przemysłowej i gospodarczej odbudowy zniszczonego kraju — jeszcze długie lata będą wysuwać się na czoło zagadnień naszego narodowego bytu. Choć w ubiegłych trzech latach dokonaliśmy ogromnego wysiłku w dziedzinie odbudowy, wysiłku bodaj stosunkowo do naszych strat wojennych najpoważniejszego z pośród wszystkich innych państw Europy, tym znaczniejszego, iż w niewielkim stopniu wspartego pomocą zagranicy — to jednak daleka droga jeszcze przed nami do tego momentu, gdy średnia zamożność naszego inteligenta pracującego, urzędnika, robotnika czy chłopa osiągnie pewien godziwy poziom. Osiągnięcia nasze w tej dziedzinie muszą być tym pełniejsze i doskonalsze, iż bez uzyskania pewnej nienajmniejszej stopy powszechnej zamożności, wszelkie życie społeczne, kulturalne, a nawet polityczne jest skazane na prymitywną wegetację. Trudno przecież wymagać od ludzi nie mających drugiej zmiany butów by gromadzili biblioteki, nie mających całego ubrania i ciepłego płaszcza oraz pewnej niezależności materialnej — by zdobyć się potrafili na niezależność myślenia i opinii, a bez tych nie ma przecież pełnego i bogatego życia politycznego.

Wytyczne

Pośrednictwo Matki

...Piszesz: „Ona musi też ode mnie coś otrzymać, ja muszę Nią oddychać, cały się Jej poświęcić, o Niej myśleć... A Jezus? On daje się w Komunii św., Maryja tu tylko pomaga. Mój drogi, pewnie, że źródłem wszelkiego dobra w każdym porządku czy naturalnym, czy nadprzyrodzonym (czyli łaski) jest Bóg Ojciec, który przez Syna i Ducha św. zawsze działa, czyli Trójca Przenajświętsza. Prawda, że jedynym Pośrednikiem do Ojca jest Syn Wcielony, Jezus Chrystus, Bóg i Człowiek zarazem, przez którego zawsze hołdy oddawane Ojcu, stają się z ludzkich Bożymi, ze skończonych nieskończonej wartości i tak rzeczywiście godnymi majestatu Ojca. Prawda, że Ojca miłujemy w Synie, Jezusie Chrystusie i Jemu musimy oddać c a ł ą naszą miłość by w Nim i przez Niego c a ł ą naszą miłość otrzymał Ojciec. Ale i to niemniej jest prawdą, że akty nasze, choćby najświętsze, nie są bez skazy. I jeżeli je chcemy ofiarować Panu Jezusowi czyste niepokalane, musimy je skierować bezpośrednio do jedynie Niepokalanej i dać Jej na własność, by jako Swoją własność dała je Synowi Swemu. Wtedy staną się one bez skazy niepokalane. Otrzymawszy zaś wartość nieskończoną przez Bóstwo Jezusowe, godnie uwielbią Boga Ojca.

O. Maksymilian Kolbe, twórca Niepokalanowa
(z listu do jednego z braci)

Dlatego też sprawy gospodarcze należą do rzędu najważniejszych zagadnień.

Działalność gospodarcza, praktyka spraw gospodarczych, pozytywna praca przy odbudowie przemysłu, zrujnowanych miast — są potężnym walorem życia społecznego. W przeciwieństwie do sporów ideologicznych, światopoglądowych, do wyznawanych teorii ekonomicznych — konkretna praca nad odbudową zniszczonego kraju i podniesieniem stopy życiowej mas jego mieszkańców jest czynnikiem koordynującym, jednoczącym. Tym więcej, że w naszym wypadku, nie można istniejącemu reżimowi odmówić zasadniczych osiągnięć na polu gospodarczej odbudowy państwa. Oczywiście praktyka życia gospodarczego — jak choćby ów „sandwicz" urzędowych oświadczeń w sprawie niepodwyższania cen i zwyżek cen podstawowych — daleko odbiega od oficjalnych oświadczeń, ale też nasze osiągnięcia daleko w tyle pozostawiły za sobą odbudowę innych państw, których start przed trzema laty podobny był naszemu, przeważnie jednak lepszy. Oficjalne oświadczenia — mój Boże! — poto są właśnie w publicznym użyciu od czasów Adama, Ewy, Kaina i Abla, by rzeczy doczesne przedstawiać w oświetleniu najbardziej optymistycznym. To podobno dodaje ducha, — tak twierdzą praktycy życia publicznego i masowego.

Rezerwując dla opinii publicznej prawo najdalszej nawet krytyki pewnych kierunków i tendencji gospodarki państwowej — wypada jednak stwierdzić, że praktyczna odbudowa gospodarcza naszego kraju jest działalnością, która nadal, jak dotąd, będzie absorbować gros najlepszych sił naszych współrodaków, i będzie jedną z ich naczelnych trosk tak w życ ı publicznym jak prywatnym.

Naczelną — ale nie jedyną naczelną. Jest bowiem jeszcze i druga — którą w odróżnieniu od poprzedniej wypada nam chyba nazwać „ideową" przede wszystkiem ideową, jako iż tamta była przede wszystkiem materialną.

Chodzi o kwestję opozycji wewnętrznej.

Jedną z najkapitalniejszych spraw do rozwiązania, zawsze stojącą przed każdym państwem i narodem, jest rozsądne ułożenie stosunków wzajemnych między tymi, co rządy sprawują, a tymi do których społecznej roli, lub też do których społecznego prawa, należy rządów tych krytykowanie. Rola taka — przypada zorganizowanej politycznie opozycji w parlamencie lub poza nim; prawo — posiadają wszyscy obywatele danego kraju o odmiennym, niźli rządzący światopoglądzie. Tylko w bardzo nielicznych wypadkach większe zespoły ludzkie mogą być jednomyślne. Zbytnia jednomyślność jest rzeczą niebezpieczną. Rządy niekontrolowane przez oponentów z reguły wykazują tendencję do ześlizgnięcia się po równi pochyłej wszędzie niekorzystnej krańcowości. Istnienie opozycji pomaga tworzeniu się realizmu jako szczęśliwej formy taktyki tak ustrojowej jak i społecznej. Opozycja jest nieodzownym elementem higieny życia politycznego. Wzajemne stosunki między opozycją a rządem bodajże decydują o harmonijnym rozwoju spraw w narodzie.

Wewnętrzno polskie życie polityczne wkroczyło w pewną erę stabilizacji, czego słupami milowymi w roku ubiegłym były: wynik wyborów do Sejmu Ustawodawczego oraz konsekwencje polityczne ucieczki Stanisława Mikołajczyka. Sytuacja polityczna dąży do wyraźnego wykrystalizowania się — w tym stanie rzeczy wypada z całą ostrością zwrócić właśnie uwagę na konieczność należytego i zdrowego uregulowania wzajemnych stosunków między rządzącym a poglądami jemu opozycyjnymi.

Naturalnie w poprzednio nakreślonych dziedzinach, w sprawach linii generalnej polityki zagranicznej i Ziem Odzyskanych musi istnieć zbiorowa solidarność całego społeczeństwa. Ale to nie może przekreślać ciągłego dążenia w tych ramach do ścierania się, dążących ku coraz pełniejszej prawdzie poglądów na świat.

Sprawa ta jest dla nas szczególnie drastyczną na terenie młodzieżowym, gdzie praktyka oświatowa w stosunku naprzykład do organizacji młodzieżowych może budzić rozliczne zastrzeżenia. Jesteśmy zdania, iż wychowanie młodzieży nie może odbywać się według reguł i wzorów sprzecznych z katolickim światopoglądem wyznawanym przez znaczny odłam młodzieży polskiej. Inni — nie tylko katolicy — uważają iż wychowanie młodzieży wogóle nie może oprzeć się o jednolitą bazę polityczną czy polityczno - organizacyjną, bez uwzględniania i należytego honorowania całej przebogatej i najróżnorodniejszej gamy możliwych postaw światopoglądowych.

Bez praktycznego umocnienia teoretycznych oświadczeń o roli opozycji ideowej w Polsce — nasze życie społeczne będzie wykoszlawione. Już choćby tylko dlatego, że — jak to zwykle bywa — brak zdrowych zasad współpracy między reżimem a opozycją zawsze w historii doprowadzał do niezdrowych, nielegalnych, jednym słowem jak najgorszych form wyżywania się światopoglądowego jakiejkolwiek opozycji.

Jeżeli w roku nadchodzącym 1948 potrafimy dzięki konstruktywnej polityce zagranicznej, opartej o sojusz z ZSRR zabezpieczyć całość naszych Ziem Odzyskanych, jeżeli potrafimy odgrywać rolę ośrodka współpracy narodów naszej części Europy, — jeżeli potrafimy w sposób mądry i rozsądny rozwiązać zagadnienie opozycji politycznej a równocześnie dalej posunąć naprzód odbudowę gospodarczą, ekonomiczną i przemysłową, naszego zrujnowanego kraju — znaczyć to będzie, że rok 1948 nie przeminął na próżno.

Kazimierz Koźniewski

Na marginesie wspomnień własnych i cudzych

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z listem ks. dr. Romana Mielińskiego drukowanym w numerze 4 (113) tyg. „Dziś i Jutro" proszę uprzejmie o umieszczenie następującego wyjaśnienia.

Z poważaniem
Wojciech Kętrzyński

Rzucone przeze mnie ogólne uwagi o wstępnych planach aktywności katolików, opracowywanych w lecie i jesienią 1945 r. („Dziś i Jutro" Nr (109) wzbudziły z kolei rzeczy szereg refleksyj ze strony ks. red. R. Mielińskiego, który zechciał je opublikować na naszych łamach. Dobrze się więc stało, żeśmy tę dyskusję wszczęli, już choćby tylko ze względów ściśle historycznych. Stworzona została bowiem okazja do uzupełnienia i sprecyzowania brakujących szczegółów, co nie jest bez znaczenia dla tych, którzy może kiedyś się tymi zagadnieniami będą interesować. Z drugiej strony, nawet tak ograniczona w rozmiarach dyskusja staje się bodźcem do zastanowienia się dlaczego tak, a nie inaczej potoczyły się dzieje aktywności poszczególnych grup katolickich. Nigdy nie jest za późno, żeby się uczyć i nigdy nie jest dobrze wyrabiać w sobie opinie, że wszystko co się kiedyś robiło, czy myślało było słuszne i nie wymaga ponownego krytycznego spojrzenia. Myśmy przy tej okazji swój rachunek sumienia zrobili i szczerze wytknęliśmy popełnione wówczas błędy. Cieszy mnie niezmiernie myśl, że przy tej okazji może i inni zechcą krytycznym okiem spojrzeć na zajęte wówczas stanowisko.

Nie mniej, ponieważ ks. red. R. Mieliński ograniczył się do korygowania w zasadzie tylko suchych faktów, będę się trzymał w odpowiedzi tej samej metody.

1. Czyja inicjatywa?

Wbrew temu co sądzi mój Szanowny Polemista, nie wydaje mi się słuszne mówić o czyjejkolwiek zasłudze, związanej z podjęciem prac w r. 1945. O zasługach mogłyby ostatecznie świadczyć rezultaty, te zaś były stanowczo za nikłe, by warto było o to się spierać. Gwoli ścisłości historycznej muszę jednak stwierdzić, że według moich informacyj inicjatywa tych prac nie wyszła bezpośrednio od „Niedzieli", lecz od bawiącej wówczas w Polsce znanej pisarki i działaczki katolickiej p. Zofii Kossak-Szatkowskiej. (Szczuckiej).

Ona to w swoich licznych wypowiedziach parła ku natychmiastowemu zorganizowaniu się działalności katolickiej w Polsce, na wszystkich dostępnych szczeblach. Obrady częstochowskie, o których pisałem poprzedziła jeszcze jedna generalna dyskusja, odbyta tamże, na której nakreślono wytyczne pracy i postanowiono raz jeszcze zebrać się już dla rozważań szczegółowych. W tych przedwstępnych pracach ks. red. Mieliński udziału nie brał, mógł więc nawet o nich nie wiedzieć. Ks. red. A. Marchewka był przez cały czas bardzo czynnym i gościnnym gospodarzem tych spotkań, nie był jednak ich inicjatorem.

2. Jak to było z formalnościami?

Zdaniem ks. red. Mielińskiego zasadniczą przyczyną rezygnacji z szeroko zakreślonych zamierzeń częstochowskich miały być trudności formalne na jakie się napotykał Komitet Organizacyjny przy reaktywowaniu „Zjednoczenia Pisarzy Katolickich". Ja osobiście tej sprawy nie przesądzam, gdyż starania się o legalizację tej instytucji nie zostały doprowadzone do końca. Jaki byłby ich dalszy przebieg, trudno przewidzieć. lecz sądzę, że przy konsekwentnej pracy zespołu, wcześniej czy później udałoby się trudności pokonać. Muszę tu przypomnieć ks. Redaktorowi, że nie czekając na listowną odpowiedź p. Dobraczyńskiego przyjechał sam w czasie organizowania zjazdu do Warszawy, i sam, osobiście odradzał mu dalsze kontynuowanie prac. W tym samym czasie zresztą, dokooptowany do Komitetu Organizacyjnego z tytułu uprzedniej przynależności od zarządu Zjednoczenia ks. Zygmunt Kaczyński zgłosił gotowość przejęcia na siebie wszelkich starań i reaktywowanie tej instytucji, stwierdzając, że ma wszelkie dane. by je szczęśliwie doprowadzić do końca. W obliczu wzrastających trudności wewnętrznych w Komitecie Organizacyjnym — p. Dobraczyński przekazał swe obowiązki ks. Kaczyńskiemu w przekonaniu, że gest ten ułatwi sytuację wewnętrzną i doprowadzi wreszcie do sfinalizowania pertraktacyj. Niestety na tym sprawy stanęły.

3. Opory wewnętrzne.

Nie jest moim zamiarem rozpisywać się szczegółowo o charakterze wewnętrznych rozbieżności stwierdzonych w łonie Komitetu Organizacyjnego. Powstały one praktycznie dopiero wówczas, gdy pierwotny skład. wybrany w Częstochowie został powiększony o dalsze cztery osoby. Powiększenie zaś nastąpiło na tym tle, że o swe prawa do udziału w pracach organizacyjnych upomnieli się dawni członkowie zarządu przedwojennego Zjednoczenia Pisarzy Kat. Muszę tu stwierdzić, że nie było w zamiarach zjazdu częstochowskiego nawracać do tradycyj przedwojennych tego stowarzyszenia, o charakterze elitarno-intelektualistycznym. Zamierzano wręcz przeciwnie w tę samą instytucję wlać zupełnie nową treść, odpowiadającą potrzebom nowych warunków. Z chwilą jednak, gdy kooptacja nastąpiła (a uczyniono to właśnie dla przyśpieszenia formalności) ujawniły się najbardziej zasadnicze rozbieżności: mianowicie nowi członkowie rozpoczęli zawziętą kampanię dla obalenia tez uchwalonych w Częstochowie i stwierdzili, że dla nich tezy zjazdu nie mają mocy wiążącej. Na tym tle doszło do najbardziej zasadniczych sporów. Ci sami bowiem, którzy przed zjazdem stwierdzali, że nie widzą potrzeby takiej inicjatywy, w następnym okresie zrobili wszystko, by ograniczyć jej zasięg do minimum. Przypomnę tylko niektóre szczegóły:

a) W Częstochowie została uchwalona rezolucja, obejmująca najważniejsze wytyczne tak ideowe, jak i praktyczne dla przyszłej pracy. Deklaracja ta została następnie przez niektórych nowych członków Komitetu zaatakowana, żądano wręcz przeredagowania jej w innym duchu. Już tylko jako curiosum przypomnę, że m. in. kwestjonowano słuszność uchwały, że pisarz katolik może pisywać w prasie nie-katolickiej, byleby nie były to pisma merytorycznie zwalczające Kościół i katolicyzm.

b) Wokół sporu o przyszły charakter organizacji doszło do parokrotnych ostrych starć o katolicką definicję pisarza. Jak zaznaczyłem to wyżej nie było bynajmniej zamiarem projektodawców wracać do ciasnych tradycyj przedwojennych, a zależało nam bardzo na tym, by praca ta objęła możliwie najszerszy zasięg piśmiennictwa polskiego. Takie stanowisko nie odpowiadało w znacznej mierze poglądom dawnych przedstawicieli zarządu, to też tak wokół samej definicji, jak i wokół projektowanej listy zaproszonych na pierwszy zjazd toczyły, chwilami nawet bardzo ostre polemiki. Do ostatniej chwili nie uzgodniono ostatecznie tej listy.

Powyższe dwa przykłady, rzecz oczywista nie wyczerpują różnic stanowisk, jakie zarysowały się w łonie Komitetu. Przedstawiam je tylko tytułem przykładu i dla poparcia mojej tezy, że prace organizacyjne zostały zahamowane przede wszystkim rozbieżnościami poglądów.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Błąd zasadniczy został popełniony w chwili, gdy na skutek narastających oporów ta część Komitetu, która najpełniej reprezentowała stanowisko częstochowskie, usunęła się od pracy w przekonaniu, że lepiej żeby inicjatywa ruszyła choć połowicznie, niż żeby, na skutek tarć wewnętrznych nie ruszyła w ogóle. Błąd polegał na tym, iż zawierzyliśmy wówczas, że istotnie pozostali akcję ruszą z miejsca. Tymczasem okazało się, że z tą chwilą praca zamarła, i w żadnej innej formie nie ruszyła z miejsca.

Pod adresem ks. red. Mielińskiego, jak i wszystkich innych, którzy chcą się poczuwać do odpowiedzialności za losy tej inicjatywy można postawić następujące pytania:

— dlaczego, po przekazaniu przez p Dobraczyńskiego swych obowiązków ks. Z. Kaczyńskiemu nie zostały rokowania o legalizacje sfinalizowane?

— jeśli natknięto się na jakieś poważne trudności formalne, czy i kiedy podjęto na przestrzeni czasu 1945 — 1948 następne rozmowy z kompetentnymi władzami w tej sprawie?

— dla czego nie została podjęta praca w ramach drugiej możliwości — jako oddzielny klub przy Związku Literatów, mimo, że taka ewentualność była brana pod uwagę przez przedstawicieli Związku?

— wreszcie, dlaczego na temat tych usiłowań panowało w prasie katolickiej kompletne milczenie, a tylko „Dziś i Jutro" parokrotnie wracało do problemu organizacji piśmiennictwa katolickiego?

O LINIACH PODZIAŁU

W chwili gdy toczył się spór wokół problemów organizacji katolickiego piśmiennictwa nie istniało jeszcze wiele dzisiejszych pism katolickich, poszczególne środowiska też nie były tak jasno wyodrębnione. Jest więc oczywiste, że nie mogłem rozdzielać odpowiedzialności za ówczesne błędy według tego schematu, jaki mi ks. red. Mieliński sugeruje: „Dziś i Jutro" — contra wszystkim innym ośrodkom katolickim. „Dziś i Jutro" w tym czasie dopiero powstawało i na pewno nie ten zespół mnie np. do Komitetu Organizacyjnego wysunął. W przeciwieństwie do mojego Oponenta, ja w danym wypadku rozdzielałem odpowiedzialność personalnie na tych, którzy w pracach brali udział. „Nomina sunt odiosa" to też osobiście nazwisk nie wymieniałem i nie zamierzam tego czynić w tej chwili. Jeśli więc mój Oponent się sam do obozu wyczekiwaczy zaliczył, jak wynika to z jego listu — sam za to ponosi odpowiedzialność. Można by najwyżej zastosować do tego wystąpienia pewne znane polskie przysłowie o nożycach...

Pragnę natomiast sprostować zasadniczo sąd ks. red. Mielińskiego, według którego miałbym „en bloc" zaliczać wszystkie istniejące w Polsce pisma katolickie do obozu wyczekiwaczy. Przeciwnie, przez sam fakt, że za datę rozpoczęcia zewnętrznej aktywności przez katolików przyjąłem dzień wyjścia pierwszego numeru „Tygodnika Powszechnego" manifestowałem wyraźnie, że krok ten był wyrazem tendencyj wręcz odwrotnych niż owo „wyczekiwanie". Nic też dziwnego, że w niektórych kołach ukazanie się pierwszego numeru tego pisma wywołało daleko idące zgorszenie.

Nie, ani przed, ani po powstaniu „Dziś i Jutro" nie było powodu, by linia podziału między aktywną a bierną częścią społeczeństwa katolickiego biegła między redakcjami. Szła ona, i idzie w dalszym ciągu poprzez redakcje, poprzez większość katolickich środowisk. Idzie ona poprzez Tygodnik Powszechny, poprzez Tygodnik Warszawski, poprzez Głos Katolicki, bo jest ona linią personalnej orientacji, osobistej postawy Polaka. My w każdym razie byliśmy i jesteśmy przeciwni wszelkim formalnym liniom podziału w społeczeństwie katolickim. Jesteśmy wszyscy częściami jednego wielkiego obozu, którego solidarność i poczucie wspólnoty winno być znacznie silniejsze od doraźnie występujących różnic. Dlatego to właśnie my przede wszystkim toczymy walkę przeciw szerzącej się psychozie „linii podziału", psychozie, której, obawiam się ulega ks. red. Mieliński.

Musimy wszyscy zdobyć się na tyle objektywizmu, by umieć rozpatrywać popełniane błędy, i zdobyte doświadczenia bez tego, by taki rachunek sumienia miał odrazu wtłaczać katolików do różnych, wrogich sobie obozów. Jeśli słuszność tego stwierdzenia uzna również i ks. red. Mieliński będę się cieszył z wyniku dyskusji.

Wojciech Kętrzyński

Jan Papini

„EWANGELIŚCI"

(wstęp do włoskiego przekładu czterech Ewangelii)

Ten, kto czyta Ewangelię, nie czyta książki.

Książka składa się z czarnych znaków, umieszczonych na złączonych ze sobą kartach. Człowiek kreśli nimi swoje uczucia i myśli. On ponosi za nie odpowiedzialność i one są źródłem jego chwały. Nawet dzieła, którym podziw ludów nadaje miano „boskich" jednak powstały na ziemi i z ziemi a słowa, które je tworzą należą do tych, które przemijają. Narody giną, imperia się rozprzęgają, języki usychają, umierają literatury. Nawet ruiny niszczeją. Okrywa je cisza wieków i pustyń.

Lecz Ewangelia nie jest dziełem wyłącznie ziemskim. Nie należy do „literatury". Jej zniszczenia nie da się pomyśleć nawet wtedy, gdy wszystko ulegnie zniszczeniu.

Jest ona historią Boga, który stał się Człowiekiem wśród ludzi, lecz który mówi w imieniu Boga i działa w sposób Boski, od nędznego narodzenia w stajni, do nędznej śmierci na Krzyżu.

Czterej ludzie, którzy opisali te dzieje, z pokorną prostotą świętych, w dzieło to włożyli zasoby własnej pamięci, nadali mu swój układ i kształt. Lecz żywa i nadprzyrodzona treść, która jest podtrzymaniem i podporą całej naszej istoty i naszego bytu, nie została stworzona przez ludzi.

Ewangelia więc, podobnie jak księgi Starego Testamentu, przewyższa nieskończenie wszelkie kategorie literackie i dialektyczne. Nie jest księgą, lecz pośmiertnym wcieleniem Tego, który kocha każdego z nas więcej, niż my sami potrafimy siebie ukochać.

Niesposób porównać jakiejkolwiek innej grupy powiązanych zdań i słów z owymi czterema snopami zbóż niebieskich, które od sześciuset tysięcy dni sycą głód i karmią miliony dusz.

Płacząca Andromacha Homera w porównaniu do Dziewicy na Kalwarii jest drugoplanową aktorką w melodramacie. Ulisses, żeglujący po morzach, aby powrócić do opuszczonej małżonki, jest manekinem z bajki wobec syna marnotrawnego, który poszukuje ojca, wobec pasterza, poszukującego owcy zgubionej. Eischylos ze swoim Prometeuszem, otoczonym przez Oceanidy, nigdy nie stworzył tak straszliwej tragedii, jak ta, której końcem była Golgota.

Nawet Dante jest tylko wspaniałym malarzem tradycji chrześcijańskiej, a w najstraszliwszych swych tercynach nie potrafi zdobyć takiej siły wyrazu, jaki brzmi w prostym, proroczym przemówieniu Chrystusa, wygłoszonym na wzgórzu w obliczu Świątyni skazanej na zagładę.

Sam Platon nie zrozumiałby wszystkich, niezgłębionych otchłani mistycznych, znajdujących się w Czwartej Ewangelii, a wszystkie opary guseł Fausta zmieniłyby się w jedną kroplę brudnej wody, jak halucynacja w czasie sabatu, w nieoczekiwanym blasku, jednego Błogosławieństwa. Jakiż poeta świata — czy to Kalidasa, Khayam, Li-tai-po, wszyscy czarodzieje Wschodu, lub łabędź z Pietole, słowik z Incizy, skowronek z Field Place, kruk z Bostonu i inni śpiewacy poetyckiej ptaszarni — stworzyli bardziej świetną i nową poezję od tej, która rozbłyska w obrazach Przypowieści.

Historia ludzkości, dla tego, kto umie czytać, jest jak gdyby nieustannym krążeniem po orbicie dokoła jednego stałego punktu — Chrystusowego Krzyża. Epoka Starożytna przygotowywała i prorokowała — nowa rozwija i dopełnia proroctwa. To samo prawo panuje nad dziejami ksiąg i od dziewiętnastu wieków cała literatura ludzkości krąży dokoła tych czterech lakonicznych książeczek. Wszystkie dzieła, które przeżyły swych twórców w literaturze stanowią obronę i objaśnienie Ewangelii i nauki Chrystusa, lub są atakami kierowanymi przeciwko Chrystusowi i Ewangelii, a czasami są mimowolnymi dowodami, czym byłby świat bez Boga, a człowiek bez Chrystusa — jak dzieła Machiawellego, Szekspira i Leopardiego — które należą do ostatniej kategorii.

Cokolwiek byśmy czynili, nie jesteśmy w stanie mówić o czym innym, jak tylko o jedynym Bycie, który ilustruje w znaczeniu absolutnym, to jest o Bogu, a kto mówi o Bogu musi z konieczności spoglądać na Chrystusa, choćby po to, aby powtarzać od nowa jadowite oszczerstwa faryzeuszy — a w konsekwencji musi zwrócić się do Ewangelii. Ewangelia w systemie słonecznym ducha jest słońcem, a wszystkie po niej powstałe pisma są tylko planetami i satelitami planet.

2.

Od czasów, kiedy Lessing w 1774 roku opublikował kilka fragmentów Reimarusa, rozpoczęła się w Europie wielką ofenzywa filologów przeciw Ewangelii. Bataliony profesorów pruskich, „scholars" angielskich i renegatów francuskich, próbowały, przy pomocy wszystkich instrumentów erudycji i sofistyki, zwalić cztery szańce, które tworzą twierdzę Nowego Testamentu.

Ofensywa ta postawiła sobie za cel udowodnienie tez coraz bardziej radykalnych: Ewangelie nie zostały stworzone przez tych ludzi, którym się je przypisuje i których imiona noszą na czele. — Nie są tak starodawne, jak to twierdzi Kościół: szkoła z Tubingi określa wiek Czwartej aż na rok 170. — Nie są dziełami jednolitymi, lecz mozaikami, gdzie można odnaleźć przeciwieństwa, zniekształcenia, interpelacje. — Nie wystarczają dla udowodnienia historycznej egzystencji Chrystusa. — Jezus jest mitem synkretystycznym. mitem słonecznym, mitem babilońskim. — Jezus nigdy nie istniał, a cztery Ewangelie są opowiastkami, ułożonymi na użytek miłośników nauki tajemnej.

Piekielna logika absurdu wzniosła się na szczyt piramidy sceptycyzmu — i runęła w dół.

Niesposób jest przedstawić szczegółowo wszystkich faz i przyczyn tej klęski. Lecz można już dzisiaj stwierdzić, rzetelnie i spokojnie, że wielka ofenzywa już się załamała. Ostatnia fala natarcia, powstała wewnątrz samego Kościoła, nazywała się Modernizmem i wszyscy wiedzą jaki był jej koniec. Dzisiaj nie ma już poważnego historyka, nawet nie-chrześcijanina, który by wątpił w historyczne istnienie Chrystusa. Różnica pomiędzy Chrześcijaństwem i pogańskimi misteriami występuje codzień wyraźniej przed oczami tych nawet, którzy byli uwiedzeni początkowo przez zewnętrzne i częściowe podobieństwa. Wreszcie sami przywódcy naukowej krytyki niemieckiej uznają i przyznają, że Ewangelie powstały najpóźniej około 60 roku a rok 100 powstania Czwartej Ewangelii Świętego Jana uznawany jest również przez uczonych nie-katolików. Co się tyczy owych słynnych dodatków i interpelacji, to na rzecz ich rzekomego istnienia można było przytoczyć jedynie i wyłącznie własne pomysły — argumenty zaczerpnięte ze z góry ułożonych systemów naukowych. które miały na celu zrozumienie wczesnego Chrześcijaństwa, a sprzeczności są z reguły pozorne i odnoszą się, jedynie do szczegółów tych zdarzeń, których istota jest przedstawiana przez Ewangelistów w sposób najdoskonalej zgodny. Wynik tego turnieju streścił, sto lat temu poeta, który nie był ani katolikiem ani chrześcijaninem, lecz poganinem i masonem: Wolfgang Goethe. „Niezależnie od tego — mówił on — czy Ewangeliści pisali niezwłocznie po zaszłych zdarzeniach, uważam wszystkie cztery Ewangelie za w pełni autentyczne, ponieważ widzi się w nich odblask wzniosłości, którą promieniuje osoba Chrystusa. Wzniosłości nadludzkiej, którą może przejawiać jedynie Bóg. który zstąpił na ziemię" [1]).

Lecz ta wojna, trwająca przez półtora wieku była konieczna i wchodziła w skład Bożych zamierzeń. Nowe czasy wymagały nowych dowodów. Podobnie skarby sztuki starożytnej podlegają sprawdzeniu od czasu do czasu, a znawcy, po zapoznaniu się z całą przebiegłością fałszerzy, wydają ostatecznie niektórym z nich świadectwo autentyczności. Chrześcijanie, którzy nie wątpili, mogą się radować. Ich pewność, która przez tyle wieków rodziła się z pokory i miłości, teraz została potwierdzona przez pyszną naukę. Po żmudnych badaniach krytyków błyszczy jeszcze nad ciemnościami świata gwiazda, która prowadziła magów do Betleem.

3.

Dla nas, karnych i posłusznych obywateli Kościoła, Ewangeli a jest poczwórnym cudem, który został nam przekazany przez czterech świętych: Mateusza, Marka, Łukasza i Jana.

Słusznym jest, że Mateusz jest pierwszy. Na wezwanie Chrystusa niezwłocznie powstaje z za biurka poborcy i idzie za Nim. Nie potrzebne mu są przemówienia i cuda. Jego radość była tak wielka, że zaprosił wraz z Jezusem do swego domu wszystkich przyjaciół, również celników i faryzeuszy. Wedle starodawnego i słynnego świadectwa Papiasza, zachowanego przez Euzebiusza, on pierwszy spisał słowa Jezusa: „Mateusz zebrał i uporządkował przemówienia Pana w języku hebrajskim a każde z nich przełożył jak umiał". Przemówienia Pana powtarza również żywym głosem tak długo, dopóki nie poniósł śmierci dla Chrystusa. Wedle niektórych napisał Ewangelię wkrótce po roku 40. Wedle Harnacka, około r. 75. Napisał ją, jak powiada Euzebiusz „za natchnieniem wewnętrznym" i naprawdę jest jedną z najpiękniejszych, jeżeli możliwym jest stopniowanie podziwu w obliczu czterech diamentów jednego pochodzenia. Przed nią i Renan zgina w układzie swą otyłą postać romantycznego badacza semityzmu przed synem Ateusza.

Marka chętnie wyobrażam sobie jako nagiego młodzieńca, w nocy w Getsemani, odzianego w prześcieradło, który wyszedł naprzeciw żołnierzom idącym z hałasem i uciekł pozostawiając im prześcieradło w ręku. W pobliżu była prasa do oliwy, a więc i folwark. Czy ów młody chłopak nie był synem właściciela folwarku? Z Dziejów Apostolskich wiemy, że w domu jego matki zbierali się wraz z Piotrem pierwsi chrześcijanie, a wybór tego domu dla ich zgromadzeń każe przypuszczać, że znajdował się nieco poza miastem, aby nie wpadać ludziom w oczy. Ta scena nocna, to cudowne wybawienie, musiały utkwić w jego pamięci. Prawie pewnym jest, że ten, który widział ujęcie Chrystusa wśród drzew oliwnych był świadkiem Ukrzyżowania. Był krewnym Barnaby i z Barnabą i z Pawłem wyruszył w pierwszą podróż apostolską. Spotykamy go później obok Pawła w Rzymie. Lecz obcował również długo i z Piotrem, (który go nazywa „moim synem") i od Piotra zaczerpnął treść do swej Ewangelii, napisanej na pewno w Rzymie pomiędzy 44 a 70. Założył kościół w Aleksandrii, i w Aleksandrii był wleczony cały dzień przez miasto dla uciechy tłumu. Następnie strącono go ze skały i zabito.

Łukasz był lekarzem, a wedle niektórych również malarzem. Pochodził z Antjochii. Może był poganinem. Święty Paweł spotkał go w Troadzie, w czasie drugiej podróży, nawrócił i zabrał ze sobą. Był w Cezarei i w Rzymie. Po śmierci Świętego Pawła nauczał w Achai i został męczennikiem w Patarze. Napisał swą Ewangelię między rokiem 60 i 70, zapewne już po napisaniu jej przez innych gdyż rozpoczyna ją słowami: . Ponieważ wielu starało się ułożyć opowiadanie o rzeczach, które wśród nas się dokonały, jak nam podali ci, którzy się im od początku sami przypatrywali i byli sługami słowa! Świętemu Łukaszowi zawdzięczamy również Dzieje Apostolskie.

Ostatni w czasie, Święty Jan jest pierwszy pod wieloma względami. Pierwszy wraz z Piotrem w miłości do Chrystusa, pierwszy w mistycznym zrozumieniu posłannictwa Galilejczyka. Jemu Umierający powierzył Swę Matkę. Na wygnaniu w Patos widział jak w czasach, które jeszcze nie nadeszły, otwarło się niebo nad klęskami i cudami końca świata. Tertulian opowiada. iż za czasów Domicjana wrzucono go do kotła z wrzącym olejem, lecz nie umarł. Został zesłany na wygnanie. Za panowania Nerwy powrócił do Efezu, gdzie napisał, pod koniec wieku, swą Ewangelię.

Rybak pełen miłości, który tyle razy składał młodzieńczą głowę na piersi Chrystusa i którego ucho słyszało bicie Serca serc, czekał aż do głębokiej starości, aby napisać to, co widział i słyszał. Przez długie lata pracy apostolskiej i samotności przemyśliwał nad słowami Mistrza — Tego, któremu za pośrednictwem Maryji był jakdyby bratem — i dostrzegł, że posiadają one znaczenie jeszcze głębsze, a w swej tajemniczości bardziej jasne i świetliste, niż to co się wydawało pierwszym pamiętnikarzom. Z tych to długoletnich rozważań mistycznych siwego ucznia wypływa szczególny i odmienny charakter czwartej Ewangelii, który uzupełnia poprzednie, nie zaprzeczając ich treści i rzuca na nie blask jasnowidzącej intuicji.

4.

Starożytne Chrześcijaństwo dostrzegało w czterech zwierzętach Ezechiela i Apokalipsy symbole czterech Ewengelistów. Na freskach, obrazach, w Raju Ziemskim Dantego, odnajdujemy ich w towarzystwie czterech symboli prorockich: Młodzieńca, Byka, i Orła, albo też wyobrażonych przez te symbole.

Dawny poborca porzucił służbę pieniądza i oto — Czlowiek.

Dawny rolnik, który zbiegł żołnierzom i oparł się sile — jest Lwem.

Dawny lekarz, który wyrzekł się nauki, stał się Bykiem.

Dawny rybak, porzuciwszy sieci na wybrzeżu wzniósł się na wysokość w powietrze i wzlata po nad innymi jak Orzeł.

Orzeł, którzy patrzy wprost w słońce to Jan, Byk, którego nikt nie zdoła okiełzać, to Łukasz. Lew na straży prawdy, to Marek. Człowiek wybawiony od zaczarowanego niewolnictwa pieniądza — to Mateusz. „A czworo zwierząt", mówi Apokalipsa, „każde z nich miało po sześć skrzydeł, a wokoło i wewnątrz pełne są oczu, i odpoczynku nie miały we dnie i w nocy mówiąc: „Święty, święty Pan Bóg wszechmogący", który był, który jest, i który ma przyjść".

Człowiek to rozum, Lew to siła, Byk to płodność, Orzeł — to wszechwiedza. Z tych czterech mocy i cnót, przypisywanych Bogu narodziła się Ewangelia, i cnotom tym odpowiada również Bohater opowiadanych przez nią dziejów. I On chciał być Człowiekiem, jak Lew przebywał na pustyni, jak Byk został zabity; i jak Orzeł zniknął w niebiosach, w chwale Wniebowstąpienia.

Wszystko to wiąże się w katedrze Symboliki i znajduje odbicie, tydzień po tygodniu w corocznym i wiecznym poemacie Liturgii.

Ewangelia, jak wspomniałem, jest lekturą niezbędną dla chrześcijanina. Należałoby ją czytać codziennie, ponieważ przy czytaniu ta jedyna księga na świecie, nie obawia się groźby przesytu. Czyż człowiek żyjący może się nasycić winem żywota?

Lecz samo wino może u zgłodniałych wywołać niebezpieczne objawy pijaństwa i mądrość Kościoła dołączyła doń chleb sakramentów oraz przyprawę nauki teologii i egzegezy. Wielu źle czytało Ewangelię. Nie dlatego, że była niejasna, lecz dlatego, że czytających oślepiła zbyt wielka dla nich ilość światła, lub że byli znieprawieni przez pychę.

Ewangelia, objawienie Bożej miłości, powinna być czytana z miłością Ojca, Syna i Prawdy.

Ewangelia, opowiadanie o najszczytniejszym Przykładzie, o wcielonym Wzorze, powinna być czytana z pragnieniem, aby po rozważeniu jej słów — nastąpił czyn. a po lekturze — życie.

Ewangelia, świadectwo jedyne dobrowolnego uniżenia się Najwyższego powinna być czytana z pełnią pokory; z pokorą pasterzy i dzieci, które Chrystus kochał. Z pokorą, która jest uczczeniem Tego, co z góry i z nieba przemawia jeszcze i dziś. Z posłuszeństwem wobec dziedziców, tych szczęśliwych przodków, którym Ewangelia została ogłoszona przed Zmartwychwstaniem i po Zmartwychwstaniu.

(tłum. A. D

---

[1]) G. P. Ecekrman. Colloqui col. Goethe, przekł. E. Donadoni. Bari, Laterza 1914 T. II. str. 348. (Rozmowa z marca 1832 r.).

Z poezji M. J. Kononowicza

Kiedy cień krzyża ..

(Ze zbiorku „Wojna i niepokój")

Dojrzały owoc życia spadł
Czerwony sok — i pestka serca
I barwa mych trzydziestu lat
I myśli zapach — i smak wiersza.

Tu, w środek świata wojny ostrzem
Wbity, zakreślam krąg poezją
I wiem: nieprawda, że są prostsze
Pięści, obrzękłe siłą ślepą.

Lecz dziś, o Panie złotych niedziel
I żytnich dni i nocy srebrnych,
Wargi me ostrzem miecza przedziel
Aby zamilkły — niepotrzebne...

Kiedy cień krzyża nas przekreślił,
Odbarw nas z wiosny i młodości,
Oderwij słowa me od treści,
Jak krwisty miąższ od twardych kości.

Kiedy cień krzyża nas przekreślił,
Przybij nam dłonie, przybij nogi,
By się w ramionach świat nie mieścił
I — by nas nie wołały drogi.

Kiedy cień krzyża nas przekreślił,
Przebij nam boki żółci pełne,
By gniew z nas wyciekł już do reszty
W otwartą ziemię, jak w cysternę.

Kiedy cień krzyża nas przekreślił,
Zasłoń nam oczy czarną wstęgą,
Niech noc — żwir gwiezdny — księżyc srebrny
Będzie nam nieczytelną księgą.

Kiedy cień krzyża nas przekreślił,
Odbierz nam myśli, odejm mowę,
Ukrzyżuj — Wszechmogący Cieślo —
Ostatnie z warg krzyczące słowa.

I gdy się wszystko już dopełni,
Gdy szaty podrą nam na części —
Zdejm z naszych czół koronę z cierni,
Oderwij z krzyża martwe pięści,

Zasyp nas piachem, przywal głazem
I — niech tak kilka dni zostanie —
Niech będzie jak poprzednim razem:
Męczeństwo — śmierć — i zmartwychwstanie.

Bo jeśli nie — to...

W imieniny Trąbki Eustachiusza

K. J. Gałczyńskiemu

Ogródek. Słonko. Ptaszki. Kwiatki:
Tuberkuloza, bez, bławatki...
Ciepło. Przyjemnie. — Tu, po pracy
Żyje i tworzy pan Ignacy.

I dzień za dzionkiem, noc za nocą —
A nocą gwiazdy się trzepocą,
A nocą księżyc — srebrny nierób —
Muzyka sfer i smak eteru...

Zima, w bamboszach... przy kominku...
Samowar szumi po rosyjsku...
Mróz, chłód i wicher — cóż to znaczy,
Gdy tworzy sobie pan Ignacy?

Aż którejś nocy, w straszną pluchę,
Gdy świerszczyk świerszczył tuż nad uchem,
Wyrosła Ignacemu z ucha
Mosiężna Trąbka Eustachiusza!

Stało się. Trudno! Nie odstoisz.
Nie urwiesz żywcem. Nie odkroisz!
Wyrosło. — Zwisa. — Trąbi czasem.
Czasem dyszkantem, czasem basem.

Już pisał kiedyś imion dwojga
Konstanty Komilfo Gałczyński
(A po tym, wiecie, była wojna
Dziejowy zamieć i mór chiński),

Że też jakiemuś Tatusiowi
Wyrosła z ucha pelargonia
I biedak zatruł się szprotkami
I — mówiąc krótko — śmierć, agonia!

A dzisiaj? Cóż ma Ignac robić?
Czy liczyć na to, że się zmieni?
A przez ten czas niesforna Trąbka
Obchodzić będzie dzień imienin?

Cóż — demokracja. Inne czasy.
I już dokonał się dóbr podział.
I rewolucją już nie straszy,
I wrzesień już spaździernikowiał...

Zabrakło rydzów i grydzyków —
Więc czym się zatruć — miazmatami?
Na świecie tylu zdrowych byków
A tutaj... Trąbka pod uszami!

Jakąż dasz radę, Ildefonsie,
(Którego wielbię aż po usy)
By Ignacemu bezboleśnie
Odpadła Trąbka Eustachiusza?

Przegląd francuski

ROZWAŻANIA O „RESISTANCE"

Pomimo nawału spraw aktualnych z zakresu gospodarki i polityki zarówno międzynarodowej, jak wewnętrznej, prasa francuska ciągle powraca do problematyki lat okupacji, oporu i kollaboracji. Pierre Emmanuel w Nr 136 „Esprit" rozważa zagadnienie Oporu, jako oczyszczenia (art. „La Resistance comme catharis"). Okres okupacji ujmuje on jako zejście do piekieł. Wszyscy, którzy wojnę przeżyli mogą i powinni teraz ocenić głębokość oczyszczenia, które przeszli. Ruch podziemny wywodził się przede wszystkim z rozdźwięku między istotą humanistycznych dążeń człowieka, a monstrualną rzeczywistością. Ruch podziemny toczył walkę o duszę i walka ta nie jest jeszcze zakończoną. Jak mówi Max Picard — Hitler jest w nas. Hitler wygrał wojnę naruszając psychikę świata w jej najistotniejszych korzeniach, przemieniając pojęcia i wartości.

Tak samo słowo „porządek" lub „praworządność". Są ludzie we Francji, którzy potępiają Ruch Oporu w imię praworządności i prawnej władzy Petaina. Jedynie prawnym rządem jest według nich ten, który posiada ciągłość konstytucyjną. Prawo w tym ujęciu ma aspekt tylko formalny, bez istotniejszego — moralnego. Jakiekolwiek są jego podstawy prawne, reżim totalny może istnieć tylko w oparciu o terror, ale nigdy o prawo. Niemniej „realiści" polityczni we Francji, jak np. autor „Listu do Fr Mauriaca" uważają, że gdyby Niemcy wygrali wojnę — my mielibyśmy rację, oraz, że „Ruch Oporu nie był dostatecznie silny, aby wpłynąć istotnie na bieg wojny".

Dyskutując z fałszywym realizmem politycznym Pierre Emmanuel stawia pytanie, czy lepiej być żywym psem, czy nieżyjącym lwem. (Jak bardzo pytanie to przypomina nasze konspiracyjne rozmowy, czy lepiej być żywą świnią, czy umarłym bohaterem.) Autor dochodzi do wniosku, że rzeczywista alternatywa sprowadza się do wyboru między utratą duszy lub życia. Ruch Oporu zrodził się ze zranionego sumienia, zdradzonej wierności wobec samego siebie i był przede wszystkim insurekcją spirytualistyczną.

Gdyby Ruch Oporu nie wyzwolił serc, gdyby „roztropni", lękliwi, spokojni — cała masa szarych ludzi, była pozbawiona możności oparcia się każdej chwili o tych, którzy ryzykują, dusza Francji byłaby zgubioną.

ZAGADNIENIA SPRAWIEDLIWOŚCI POLITYCZNEJ I KOLLABORACJONIZMU

Również w związku z okresem wojny, prasa francuska zajmuje się zagadnieniem sprawiedliwości politycznej Christianus w „La Vie Intellectuelle", odpowiadając na pytanie Mounier, czy istnieje sprawiedliwość polityczna, twierdzi, że nie jest ona niczym innym, jak rozkładem koncepcji filozofii heglowskiej i ateistycznej. W dalszym ciągu Christianus pisze: „idea sprawiedliwości politycznej, według której człowiek może się czuć niewinnym wobec swego sumienia i być przedmiotowo winnym z punktu widzenia władzy publicznej państwa, lub historii, wydaje nam się jedną z najcięższych herezji współczesnych". Dlaczego? Christianus odpowiada: „chrześcijanin wie, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie; to jest nawet jedno z uzasadnień jego wiary w nią poza tym światem; jest on sceptycznym wobec tego, co świat nazywa zdradą, a jeśli głosi przebaczenie i zapomnienie, to głównie dlatego, że czuje w swym sercu nieprzezwyciężoną odrazę do kłamliwego dogmatu sprawiedliwości politycznej". Sformułowania te nie odpowiadają poglądom autorów „Esprit": „zamiast pisać, że sprawiedliwość polityczna jest owocem historii heglowskiej i ateistycznej, byłoby bardziej uczciwie powiedzieć: odrzucamy pojęcie sprawiedliwości politycznej, ponieważ odrzucamy historię i politykę. Znamy to dobrze. Udowodni nam Pan przede wszystkim, że wszystkie sprawy ludzkie są nieczyste i że nie należy przywiązywać do nich wagi: nie ma sprawiedliwości na tej ziemi, cóż będziemy robić z tymi procesami. Naszą rolą jest przebaczenie i zapomnienie. Subtelności metafizyczne Christianusa mogą zachęcić zbyt wielu chrześcijan do łatwego przebaczenia katom innych."

Wydaje nam się jednak, że problem jest niewłaściwie postawiony — Christianus pisze o grzechu, Mounier o odpowiedzialności prawnej. Zagadnienie, aby nie karać bezgrzesznych jest problemem konstrukcji ustroju politycznego.

* * *

Zagadnienie czystki wśród własnego społeczeństwa tak aktualne we wszystkich krajach (poza Polską), zhołdowanych przez Hitlera, ciągle jeszcze frapuje prasę francuską.

„Temoignage Chretien" żądał czystki „szybkiej, dokładnej i ograniczonej", „L'Humanite" — „kary dla wszystkich kollaboracjonistów wielkich i małych".

„L'Aube" popiera tezy Christianusa i stwierdza: „żadna sprawiedliwość, nawet polityczna, nie może pozostać sprawiedliwością, jeśli zrywa z morale pobudek."

Emmanuel Beer tak ujmuje sprawę w „Carrefour": „każda sprawiedliwość zakłada w ogólności:

1. że oskarżycielski paragraf stosowany przeciwko oskarżonemu posiada określoną wagę,
2. że oskarżony jest niewinny, jeśli udowodni, że nie popełnił zarzucanego mu czynu. Dialektyka nie odgrywa tutaj roli, Nie może ona zrobić z Dreyfusa autora rachunku, jeśli nim nie był".

„Jacob w „Esprit" stwierdzając, że „nie ma wolności dla zdrajców wolności", tak przedstawia sprawę: „trzeba przyznać kollaboracjonistom, że nie zdradzili **ich** Francji, wystarczy jednak, że zdradzili **naszą**".

Wydaje się, że w tym sformułowaniu kryje się poważne niebezpieczeństwo. Abstrahując od problemu kollaboracji, teza taka usprawiedliwia tępienie przeciwników politycznych, z całą bezwzględnością, będącą udziałem doktrynerów.

Zajmując się kollaboracjonizmem wśród artystów francuskich „Esprit" omawia sprawę Sergiusza Lifar, znakomitego tancerza, który został uznany winnym jedynie wykonywania swych funkcji w okresie okupacji, a nie kollaboracji i został zawieszony we wszystkich czynnościach artystycznych na okres 1-ego roku. Ponieważ Lifar odcierpiał karę, „Esprit" bierze go w obronę przed wrogami: „niewątpliwie znamy zbyt dobrze artystów w ogóle, a tancerzy w szczególności, aby nie uwierzyć, że Sergiusz Lifar mógł wygłosić kilka nieszczęśliwych zdań, pijąc z Niemcami szampana. Ale przede wszystkim zarówno te zdania, jak przebywanie z Niemcami zostały złagodzone przez brak kollaboracji, wreszcie jakie znaczenie im przyznać? Dowodzą one tylko raz jeszcze że artyści powinni dobrze zdawać sobie sprawę z zasięgu swych słów."

Według „Esprit" co wolno tancerzom — artystom dziecinnym, trochę zwariowanym i nieodpowiedzialnym, tego nie wolno pisarzom. Jako typowy przykład przedstawiono Roberta Brasillach, który był twórcą dzieł pełnych inteligencji, czułości i dyskretnej szlachetności, a który został rozstrzelany za współpracę z Niemcami i wystąpienia antysemickie.

* * *

Obok stałych żądań oczyszczenie społeczeństwa francuskiego z kollaboracjonistów, coraz częściej przewija się przez prasę francuską żądanie amnestii, która naprawiłaby niesprawiedliwości początkowego wymiaru kar wobec ludzi zbyt pochopnie osądzonych.

M. Izorni w „L'Epoque" posuwa się tak daleko, że pisze: „Amnestia będzie tylko próżnym słowem, jeżeli się nie rozpocznie od wielkiego starca, który umiera powoli na jednej z wysp Atlantyku". Oświadczenie to wywołało gorący sprzeciw wielu pism, stwierdzających, że nie chodzi tu o człowieka, a o cały system Vichy i jego symbol. Problem Petaina porusza ciągle umysły Francuzów. Dwutygodnik „Aspect de la France" publikuje ostatnie orędzia marszałka z wyspy Yeu.

STOSUNEK DO U. S. A.

Oprócz entuzjastów przyjaźni amerykańsko - francuskiej odzywają się na łamach prasy głosy atakujące zwłaszcza kulturalne formy życia amerykańskiego. Komunistyczna „L'Humanite" woła wielkim głosem, że „Ameryka degraduje intelekt" i wzywa do nie kupowania „amerykańskich grabarzy literatury", „...brońcie literatury zdrowej, pisze dalej „L'Humanite", w kraju Rabelais'a, Montaigne'a, Voltair'a, Moller'a, Rimbaud'a, Eluard'a i Aragon'a, propaganda obniżenia poziomu umysłowego nie może znaleźć oparcia."

„Esprit" publikuje list Francuza z Atlantic City, który przesyła pierwszą stronę tamtejszego pisma „Atlantic City Press" z następującymi uwagami:

„Przyjrzyjcie się sami: w górze po stronie prawej klasyczne kłótnie między demokratami i republikanami w Magistracie. Jeśli jestem dobrze poinformowany aktualny mer został usunięty, ponieważ policja nie znalazła sprawcy zbrodni dokonanej przed miesiącem na pewnym barmanie. Na dole po prawej championka „clamsów" (rodzaj jadalnych mięczaków) — Izzy Weintraub, która waży 200 funtów i zjadła wczoraj 186 sztuk owych clamsów". „Izzy pobiła swój własny rekord z roku 1943." W tej samej kolumnie kardynał Spellman przed 53.000 chłopców potępia „ateistyczny komunizm, wroga ludzi, wierzących w Boga i Amerykę". „W „Junior High School" nowy kurs dla rodziców, na którym będzie się studiować konflikt osobowości i możliwe ich rozwiązania, oparte na zasadach psychologii dzieci i młodzieży. Na dole po stronie lewej — ekspedycja uniwersytetu kalifornijskiego odkryła wykopalisko Propliopithecusa, przodka z przed trzydziestu pięciu milionów lat. Aktorka Gene Tierney została zawieszona przez wytwórnię „20th Century Fox", nie bardzo rozumiem dlaczego. Mae West nie będzie występowała w radio londyńskim z powodu ograniczeń dolarowych. W Bloomington, pan O'Neil, powtórnie wybrany szefem Legionu Amerykańskiego, oświadczył, że nadszedł czas zatrzymania komunizmu. „Jeżeli Rosjanie chcą być komunistami, to ich sprawa, ale jeśli oczekują tego od Stanów Zjednoczonych, to Legion Amerykański natychmiast..." „Wychowanie religijne powiedział pan Stassen jest pozytywną i afirmatywną filozofią życia, skierowaną przeciwko nicości, ale w bezpośredniej opozycji wobec filozofii marxistowskiej. W środku, na dole, biuro umiarkowania metodystów zwróciło się do admirała Williama F. Hasley'a (fotografia na prawo); nieszczęśnik ten uczynił niezbyt zręczną uwagę: „Jako zasadę ogólną — ośmielił się powiedzieć admirał — pragnę podać, że nie wierzę, aby żołnierz

mógł nie palić i nie pić". Zdaniem metodystów bywali jednak wielcy wojownicy, którzy byli również abstynentami.

Jeszcze raz metodyści — tym razem w łączności z F. B. I. (Federal Biuro of Investigation), kampania moralności; kij i kropidło.

W końcu dobra nowina: gen. Omar Bradley został odznaczony wyróżnieniem znalezienia się między 10 najbardziej interesującymi twarzami Ameryki, przez artystów z Ligi Amerykańskiej. Pomiędzy tymi 10 twarzami znajdują się również Henryk Kaiser, znany przemysłowiec, którego podobieństwo do senatora rzymskiego jest uderzające (fotografia pośrodku w górze). Na lewo można podziwiać fotografię senatora amerykańskiego i nowego biskupa.

To wszystko może nie jest takie nadzwyczajne, chodzi o ton ogólny. Niewątpliwie bywają lepsze numery Atlantic City Press, niż ten, który znalazłem dziś rano u fryzjera, ale nie mam czasu na nie czekać; odczuwam tęsknotę, aby powrócić do Francji".

ŻYCIE KATOLICKIE

U. C. S. F. Od dwóch lat bardzo silnie rozwija się życie katolickie wśród uczonych francuskich. Uczeni-katolicy zdradzali dawniej tendencję do rozdzielania w swym umyśle zagadnień wiedzy i prac badawczych od kwestii praktyk religijnych i wiary. Uczeni katoliccy zdają sobie sprawę z niepewności tego rodzaju stanowiska w chwili obecnej. Poszukują środków, które sprowadziłyby głęboką jedność strukturalną intelektu.

Prace naukowe wymagają coraz bardziej zorganizowanej współpracy zespołowej. Praca chrześcijańska uczonych katolickich wymaga zespolenia wysiłków w celu stworzenia sieci obejmującej całą Francję (czy tylko Francję?).

U. C. S. F. („L'Union Catholique des Scientifiques francais") jest pierwszym owocem tego ruchu. Na jej czele znajduje się Rada Unii, licząca 30 członków, najbardziej znanych i cenionych uczonych (10 z nich jest członkami Akademii Nauk). Rada wybiera Komitet Wykonawczy, kierowany obecnie przez Louis Leprince-Ringuet. Zadaniem Komitetu jest organizowanie programu prac na każdy rok i kontrola jego wykonania. Różne grupy uczonych mają się wkrótce zebrać dla omówienia następujących zagadnień: „Nauka i Credo Katolickie", „Biologia współczesna i wymagania chrześcijańskie".

U. C. S. F. liczy obecnie 500 członków.

***

Studenci-katolicy. W sierpniu i wrześniu ub. r. zebrało się 60 kierowników J. E. C. (Jeunesse Etudiante Catholique) i J. E. C. F. (Jeunesse Etudiante Catholique de Femmes) — w Pontoise, reprezentujących 22 narody.

Od chwili swego powstania J. E. C. zdradzała zainteresowania zagadnieniami międzynarodowymi. Współdziałała w opracowaniu chrześcijańskich koncepcji pokoju, przyczyniła się do nawiązania stosunków między narodami.

Wojna przerwała działalność J. E. C'u. Dopiero w 1945 roku nawiązano pierwszy kontakt z Kanadą, później z Belgią, Italią i Szwajcarią. Ze swej strony centrala kanadyjska w Montrealu rozwinęła jeszcze bardziej swe stosunki ze studentami Ameryki. Przed 2 laty odbył się pierwszy zjazd J. E. C. po wojnie, we Fryburgu przy udziale przedstawicieli 9 krajów.

Pierwszym wrażeniem zjazdu w Pontoise był jego uniwersalizm. Na zjeździe tym byli reprezentowani przedstawiciele narodów latyńskich, słowiańskich, świata anglo-saskiego, ludów „kolonialnych", krajów Dalekiego Wschodu. O uniwersaliźmie tym przypominało codzienne odmawianie Benedicite w 16 — 17 językach. W czasie całego zjazdu panował duch wiary, miłości i nadziei. Wszyscy zebrani uwierzyli w rzeczywistą żywotność środowisk J.E.C. Wśród omawianych problemów poruszano również i najbardziej aktualne od marksizmu do najcodzienniejszych zagadnień, a przede wszystkim ruchu spirytualistycznego.

Le centre Richelieu. W 1945 r. powstał w Sorbonie ośrodek Richelieu. Jest to organizacja, łącząca wszystkich studentów-katolików J. E. C. bratnia organizacja J. O. C.'u (Jeunesse Ouvriere Catholique) nigdy nie pretendował do monopolizowania akcji katolickiej wśród studentów. Mając głównie zadania apostolskie wśród nie-chrześcijan, często zaniedbywał akcję wśród katolików. Ci ostatni byli zgrupowani w F. F. E. C. (Federation Francaise des Etudiants Catholiques). Obecnie nastąpiło połączenie w wymienionym wyżej ośrodku Richelieu. Ośrodek dzieli się na grupy autonomiczne, z których jedne obejmują humanistów, drugie przyrodników. Każda z grup jest kierowana przez Prezydium, które syntetyzuje różne ruchy katolickie i organizuje ich działalność. Odbywają się więc cotygodniowe konferencje, ogólne Msze św. z przystępowaniem do Komunii św., manifestacje religijne, pielgrzymki i obozy.

Poza podziałem na humanistów i przyrodników, grupy te dzielą się jeszcze według specjalności bardziej szczegółowych. W takich już ściślej podzielonych grupach dyskutuje się takie zagadnienia, jak np. filolodzy — „myśl religijna Goethego", filozofowie — „Bóg filozofów i Bóg chrześcijan", „moralność laicka i chrześcijańska", historycy — omawiają inkwizycję itd. Przed wszystkim chodzi jednak o stosunek grup owianych duchem wspólnoty chrześcijańskiej, utrzymujących kontakt i z niewierzącymi, by siłą swej wiary sprowadzić ich na drogę Prawdy.

Obecnie ośrodek Richelieu przystępuje do wydawania tygodnika „Sorbonne".

Jeden z współpracowników tego ośrodka tak charakteryzuje zadania: „Nie chcemy na nikogo wywierać nacisku, ani ograniczać wolności żadnego z naszych braci, ale mamy świadomość obowiązków świadczenia i wskazywania wszystkim, przez nasz przykład i naszą przyjaźń posłania Chrystusowego. Jesteśmy pewni (mamy przecież codziennie namacalne tego dowody), że Bóg posługuje się nawet tak przeciętnymi narzędziami, jakimi my jesteśmy, aby okazać swą Łaskę. („La Vie Intellectuelle" Nr 12).

NOTATKI

J. P. Sartre zaatakował dnia 20.X. gen. de Gaulle, a w swym przemówieniu radiowym w dniu 27.X. — komunistów.

Nagroda czytelników ufundowana przez „Gazette des Lettres" została przyznana Franciszce d'Eaubonne za książkę „Comme un vol de Gerfant" i Gilbertowi Cesbron za „La Tradition Fontquernie".

Henri Mondor, pisarz i chirurg, został przyjęty przez Jerzego Duhamel do Akademii Francuskiej.

Nagroda Stendhala została przyznana Michałowi Bataille za romans „Patrick".

Na Sorbonie uczczono uroczystą manifestacją stuletnią rocznicę urodzin ojca badań atomowych Lorda Rutheforda.

W Szwajcarii ukazał się tom niewydanych dotychczas utworów Apolinaire'a p. t. „Ombre de mon Amour". Według Andre Rouveyre, utwory te dorównują swą wartością zbiorowi „Alcools".

Z okazji 1400 śmierci św. Benedykta wydawnictwo du Grenier, w oparciu o pomoc i pod protektoratem wielu klasztorów drukuje luksusowe wydawnictwo reguły Patriarchy Zakonów Zachodnich.

Ojciec Św. przyjął na audiencji prywatnej Ojca Ludwika od Św. Trójcy (admirała d'Argenlieu), który oddał Najwyższemu Kapłanowi wszystkie swe odznaczenia.

Kardynał Suhard po odprawieniu Mszy św. w dniu otwarcia Instytutu Katolickiego w Paryżu zwrócił się do studentów, aby rozwijali myśl chrześcijańską skierowaną ku postępowi.

J. H.

Jan Reychman — **Z cyklu: Europa środkowa**

MIKOŁAJ IORGA 1871 — 1940

W chwili, gdy więzy zacieśniające przyjaźń i współpracę Rumunii z innymi narodami i państwami tej części Europy zaczynają być coraz grubsze i rokują nadzieje prawdziwej trwałości — warto chyba przypomnieć jedną z najciekawszych postaci rumuńskiego życia politycznego, męża stanu, który może być uważany za prekursora stosunków polsko-rumuńskich.

Temat stosunków Polski z narodami Europy południowo-wschodniej poruszać będziemy w najbliższym czasie częściej niż dotychczas.

REDAKCJA

Gdy po 6 latach mroku nauka polska budzi się znów do nowego życia, nawiązuje przerwane kontakty międzynarodowe i szuka znów na arenie światowej tych, z którymi była w najbliższym związku, którzy z naszymi uczonymi bliżej współpracowali, byli naszymi przyjaciółmi, gośćmi — niejednego z tych cudzoziemców nie znajduje już śród żyjących. Jednych zabrała przez te lata zwykła śmierć, inni stali się ofiarami przypadkowego nieszczęścia związanego z działaniami wojennymi, odłamka bomby czy zabłądzonego pocisku. Ale byli i tacy, którzy bezpośrednio stali się ofiarami tego samego barbarzyństwa, pod którego ciosami padło tylu naszych uczonych, tego barbarzyństwa, które wszędzie postawiło sobie za zadanie znęcanie się nad ludźmi nauki, luminarzami wiedzy, nieraz starcami cieszącymi się powszechnym poważaniem. Ofiarą tego barbarzyństwa padł w nocy z 26 na 27 listopada 1940 roku jeden z największych uczonych Rumunii i całych Bałkanów, 69-letni Mikołaj Iorga.

Barbarzyńscy siepacze nie cofnęli się przed nikczemnym podstępem, aby wielkiego uczonego, który wycofawszy się z życia politycznego w ciszy domowej oddawał się owocnej pracy naukowej, wywabić z domu i uczynić z niego przedmiot porachunków tym ohydniejszych, że splamionych bezlitosnym znęcaniem się nad bezbronnym, starym już człowiekiem, który w swej szlachetności zaufał słowu aresztujących go „legionarzy" spod znaku Żelaznej Gwardii, rumuńskiego odgałęzienia hitleryzmu.

Z Iorgą zszedł do grobu nietylko największy rumuński historyk, ale i jeden z najciekawszych przedstawicieli europejskiej nauki i umysłowości. Był to — jak słusznie to określił jeden z jego biografów — jakby jakiś humanista z epoki Odrodzenia cudem jakimś zabłąkany w nasze czasy. Historia Rumunii we wszystkich jej okresach, dziedzinach i dyscyplinach, historia literatury swego kraju, historia sztuki, gruntowna znajomość historii całego półwyspu bałkańskiego i południowego Wschodu Europy, byzantynologia, filologia rumuńska, estetyka, poezja, krytyka, ba nawet reportaż podróżniczy dramat — oto dziedziny twórczości człowieka, który z dumą mógł o sobie powiedzieć, że zaiste nic ludzkiego nie jest mu obce.

Ten to uniwersalny polihistor łączył przy tym tę niezwykłą wszechstronność i olbrzymi zakres zainteresowań z niezmordowaną pracowitością i fenomenalną jak na jednego człowieka pamięcią i płodnością duchową. Wystarczy tylko tu wspomnieć, że liczba jego własnych pozycyj bibliograficznych wyniosła w latach 1890 — 1934 zawrotną cyfrę 13.682 numerów, w czym sama tylko liczba większych wydawnictw wynosi 800 pozycji. Ale nie zapominajmy przy tym, że człowiek ten którego dzieła w katalogach księgarni naukowych zajmowały więcej miejsca niż dzieła wszystkich innych rumuńskich autorów razem wzięte miał ponadto czas na aktywną działalność polityczno-społeczną, pełniąc funkcje premiera, przewodniczącego parlamentu, członka Rady Królewskiej. Że miał on nie tylko swoje własne pisma naukowe „Revista Istorica" i „Revue Historique du Sud-Est Européen" (językiem francuskim władał tak płynnie, że pisał w nim bezpośrednio szereg prac naukowych), ale i swój dziennik polityczny „Neamul Romanesc", że miał i swój własny uniwersytet letni w Valenii de Munte, swego czasu założył własną partię polityczną. I — rzecz ciekawa — wszystkie te tak bogate i rozbieżne zainteresowania bynajmniej ze sobą nie kolidowały ani się nie kłóciły, ale jakby nawet wzajemnie się uzupełniały, tworząc przedziwną jakąś całość i nadając jego siwobrodej postaci piętno jakiegoś polihistora z czasów Humanizmu czy encyklopedysty XVIII wieku. Mówiono o nim, że potrafił w przerwach między audiencjami ministerialnymi robić korekty swych wydawnictw naukowych, a podczas pauz między wykładami uniwersyteckimi redagować manifesty polityczne.

Oczywiście, że przy tak olbrzymim zakresie twórczości tu i ówdzie zakraść się mógł jakiś błąd czy przeoczenie, że szereg dzieł np. 5 tomowe „Geschichte des Osmanisches Reiches in Europa" (Gotha 1908 — 1913) budzi ze strony specjalistów cały szereg zastrzeżeń z punktu widzenia np. jednostronnego wykorzystania źródeł (w wyżej wymienionym dziele nie wykorzystał np. Iorga źródeł wschodnich) i stąd braków krytycznych. Ale i przy tych brakach krytycznych, przy nie zawsze do gruntu pogłębionych sądach, przy nieuchronnej w takich wypadkach pewnej powierzchowności, nie można tym dziełom odmówić niebywałego aparatu erudycyjnego, tak, że pomijając wartości analityczne, samo zebranie tych wszystkich źródeł w świetnej, sumiennej formie podanych, stanowi już pozycję wysoce pożyteczną.

Ten człowiek tak przedziwnej wiedzy i kultury, ten wielki Rumun i wielki Europejczyk był też — co w ciężkich dla Polski czasach szczególnie godne było wspomnienia — wielkim przyjacielem narodu polskiego. Miłość do Polski wyniósł z lat dziecinnych. „W starym mołdawskim mieście Botoszany, gdzie spędziłem lata mego dzieciństwa" — pisze Iorga w swych „Wspomnieniach z lat dziecinnych"[1]) — „Polaków spotkać można było wszędzie potrochu... A więc przede wszystkim tych, którzy schronili się do nas po powstaniu 1863 roku, i którzy jak ich poprzednicy z końca XVIII wieku znaleźli na tej dobrej, gościnnej ziemi przyjaźń". Emigranci ci polscy — pisze Iorga — dali mu „coś ze swych uczuć, koleżeństwa a nawet wiedzy...".

Dzieje Polski znał Iorga gruntownie, tak, że spod jego pióra wyszłe, a odnoszące się do spraw polskich adnotacje przy redagowanych przez niego rozmaitych wydawnictwach źródłowych zadziwiają gruntowną i drobiazgową znajomością dziejów Polski, jej spraw i stosunków. Wszystkie epizody polsko-rumuńskie od akcji polskiej u hospodarów mołdo-wołoskich w XVI wieku, poprzez kontakty szlachty polskiej z dworami fanariockimi w XVIII wieku aż po emigrację polską w Rumunii w XIX wieku, miały w nim badacza wnikliwego i sumiennego. Obok opublikowania źródeł do dziejów rumuńskich z archiwów polskich, które włączył do szeregu swych wydawnictw m. in. do „Acte si fragmente" (1895), „Documente privitcare la familia Callimachi" (1902) i in., specjalnie poświęcił stosunkom rumuńsko-polskim rozprawę „Polonais et Roumains" (1921). Szlachetna postać rumuńskiego historyka z głębokim wejrzeniem i nadającą mu piętno jakiejś szczególnej dostojności długą brodą była nieraz gościem polskich konferencji czy zjazdów naukowych. W r. 1924 Iorga wygłosił na szeregu uniwersytetach polskich wykłady p. t. „Choses d'Orient et de Roumanie", ogłoszone potem w osobnej książeczce. Wydał też Iorga nacechowany serdecznością do Odrodzonej Polski opis tej podróży po Polsce z 1924 r. W r. 1933 brał udział w międzynarodowym zjeździe historycznym w Warszawie, gdzie wygłosił referat „Origine et developpement de l'idée nationale surtout dans le Sud-Est européen".

Nawet wtedy gdy spod jego pióra wyszło jakieś słowo bardziej krytyczne o Polsce nie płynęło to z żadnej niechęci, ale właśnie z obawy o losy Polski, które mu były tak prawie bliskie, jak losy Rumunii. Tak było jesienią 1938 roku, gdy w okresie Monachium i wysunięcia przez Polskę sprawy Zaolzia napisał w „Neamul Romanesco" swój słynny artykuł „Quo Vadis Polonia?", nacechowany proroczą obawą o dalsze losy Polski i chęcią ostrzeżenia jej przed konsekwencjami polityki, które ten wielki rumuński uczony uważał za zgubne dla nas.

Boleśnie też odczuł Iorga klęskę Polski w r. 1939, dając nieraz otwarcie wyraz swemu współczuciu dla pierwszej ofiary wojennej agresji Niemiec hitlerowskich. Bezdomny Instytut Polski w Bukareszcie przygarnął w gościnnym lokalu swego Instytutu Rumuńskiego dla Historii Południowego Wschodu Europy, gdzie przechować się mógł cały księgozbiór polski. 30 listopada zabrał głos w Senacie rumuńskim. „Na granicy naszej"—mówił Iorga—„rozegrała się wielka tragedia. Żył tam naród, którego los przez całe wieki związany był z dawną Rumunią. Nie zapominajmy, że schronienie, które udzielamy dziś Polakom nie jest pierwsze. Że każde nieszczęście Polski szeroko otwierało bramy Rumunii dla Polaków. I tak być powinno. Kiedy znów powstała Polska poczuliśmy się silniejsi niż poprzednio. A obecnie, kiedy to wielkie nieszczęście zwaliło się na nią, możemy powiedzieć, że to nas bili. I możemy powiedzieć z tego miejsca, z którego przemawiam, nie narażając interesów Rumunii, że żywimy nadzieję, iż o ile by jakiekolwiek prawo narodów zostało poniżone, musi znaleźć ono całkowite zadośćuczynienie i wierzę, że narody

---

[1]) W zbiorku „Nowele i szkice rumuńskie", Warszawa 1 34

W świecie...

PODZIAŁ NIEMIEC

19.I Podział Niemiec wydaje się coraz bardziej oczywisty. 20 stycznia odbyła się oczekiwana z wielkim zainteresowaniem Rada Kontroli w Berlinie. Przedstawiciel ZSRR marsz. Sokołowski w sposób niezwykle ostry domagał się anulowania uchwał frankfurckich, jako najzupełniej sprzecznych z porozumieniem poczdamskim. Do wymiany zdań między gen. Clayem, a marszałkiem Sokołowskim ograniczyła się pierwsza część Rady. Druga poświęcona miała być dyskusji nad reformą walutową w Niemczech. Jednakże czas jej trwania — 10 minut — wskazuje na to, iż była ona raczej tylko pewnego rodzaju poufnym pożegnaniem członków Rady. Komunikatu na ten temat nie wydano. Gen. Clay w 20 minut po zakończeniu Rady wyleciał samolotem do USA. Jednocześnie w całej, już prawie oficjalnie zwanej „Bizonii", a specjalnie w Bawarii, trwają masowe strajki, które należy uważać za sui generis protest niemiecki przeciw podziałowi Niemiec. Przystąpienie Francji do „Bizonii" jest jeszcze niezdecydowane, ale niechybnie nastąpi. Prawdopodobnie w początkach lutego. Francja zaczyna coraz bardziej podzielać politykę amerykańską w sprawie Niemiec. Charakterystycznym był artykuł Leona Bluma kwestionujący — mimo tylokrotnych odmiennych opinii jego kolegów z SFIO (Ramadier jako premier) — stałość polskiej granicy na Odrze i Nyssie.

PODZIAŁ EUROPY

Równolegle do podziału Niemiec dokonywuje się podział Europy. Ostatnia mowa Bevina w parlamencie, w której min. brytyjski nawoływał Europę do obrony przed komunizmem i w tym celu przeprowadzenia konsolidacji państw Europy Zachodniej, t. j. Wielkiej Brytanii, Francji, Be-ne-luxu, Włoch, Portugalii i prawdopodobnie (tego już Bevin nie zaznaczył) Hiszpanii. Chwilowo W. Brytania podjęła starania by Be-ne-lux przyłączył się do sojuszu Francja — Anglia. Eden udzielił imieniem konserwatystów całkowitego poparcia planom konsolidacji Europy Zachodniej, a Churchill określił je, jako realizację jego sławnego „programu fultońskiego". Prawdopodobnie w połowie lutego ma zostać zwołana konferencja 7 państw zachodnio - europejskich w sprawie nowego sojuszu.

PERYPETIE FRANKA

Plan Marshalla przewiduje, iż państwa, którym USA udzieli w ramach planu pomocy — muszą zdewaluować swoje waluty w stosunku do dolara. Pierwszym rządem (najbardziej widać potrzebującym pomocy), który rozpoczął rozmowy na temat dewaluacji był rząd francuski. Nieoczekiwanie zaprotestował przeciw dewaluacji franka rząd brytyjski obawiając się dewaluacji funta szterlinga. Rząd francuski nie przyjął do wiadomości zastrzeżeń brytyjskich i w dn. 24.I. uchwalił dewaluację franka w stosunku do dolara i wprowadzenie we Francji wolnego rynku na złoto i niektóre obce waluty. Tymczasem jednak W. Brytania zwróciła uwagę rządu USA, że dewaluacja franka może wywrzeć niekorzystny wpływ na przebieg przygotowań do sojuszu 7 państw zachodnio - europejskich. Ponieważ sojusz ten jest na rękę koncepcjom U.S.A. wycofała raptem swoje żądanie dewaluacji franka. Wobec czego uchwała rządu francuskiego nie została ogłoszona w formie ostatecznej. Wypada zaznaczyć, że dewaluacja franka nie może nastąpić bez zgody Międzynarodowego Funduszu Monetarnego, który nie chce dotąd udzielić swej zgody. Nareszcie dojrzewa zrozumienie, że pieniądz danego państwa nie jest jego wyłączną własnością i że rządy w swych koncepcjach polityczno - gospodarczych muszą brać pod uwagę dobro nie tylko własne, ale i innych partnerów światowej gospodarki.

UMOWA TRANSPORTOWA

25.I Z Nowym Rokiem weszła w życie, tymczasowo na okres półroczny, umowa o wolnym transporcie drogowym w niektórych krajach Europy. Umowa przewiduje swobodny transport towarów na głównych arteriach komunikacyjnych, znosi szereg ograniczeń obrotu drogowego, przewiduje ujednolicenie formalności celnych, zaleca zmniejszenie podatków od wozów zagranicznych. Umowa obejmuje chwilowo: Czechosłowację, Włochy, Francję, Szwajcarię, Danię, Holandię, Belgię i zachodnie strefy okupacyjne niemieckie. Umowa jest dziełem Komitetu Transportu Śródlądowego Europejskiej Komisji Ekonomicznej ONZ.

---

bez względu na to co by je spotkało zmartwychwstaną."[2])

21 stycznia 1940 roku, na łamach „Neamul Romanesc" Iorga poświęcił dłuższe a godne przypomnienia w tych czasach, gdy wszyscy w Rumunii drżeli przed potęgą Niemiec wspomnienie o Bronisławie Dembińskim. „Potwierdza się wiadomość"— pisał Iorga — „że w więzieniu, w którym cierpiał dla swego kraju zgasł historyk polski o wielkim imieniu Bronisław Dembiński. Poniósł śmierć za szlachetną sprawę narodową, pomimo że nie należał do tej kategorii bojowników, którzy przez dynamizm swej walki mogliby na siebie ściągnąć pioruny zemsty politycznej. Trudno wyobrazić sobie wrogość i to tak nieubłaganą wobec 70-letniego starca, zmęczonego długą pracą naukową i pisarską, który był samą tylko łagodnością, dobrą wolą i pogodnym uśmiechem. Ci, którzy go znali z Międzynarodowego Komitetu Historycznego nie będą mogli nigdy zapomnieć tej czcigodnej i świetlanej postaci, promieniującej blaskiem czystości uczciwego życia, poświęconego badaniu przeszłości i strawionego obcowaniem z wielkimi duchami ludzkości. Dembiński zorganizował w Warszawie wielki kongres, będący wyrazem tej wielkiej roli cywilizacyjnej jaką dumnie na siebie wzięła wyzwolona wreszcie Polska. Tradycyjna gościnność narodu polskiego przeszła wówczas sama siebie. Dlaczego los okrutny zawziął się i przeciw takim ludziom jak Dembiński?"[3])

Ten sam los okrutny nie został zaoszczędzony i Iordze. Dopóki mógł, jeszcze nawet za rządów „Żelaznej Gwardii", usiłował Iorga utrzymać swe pismo jako jedyną placówkę niezależnego słowa i wolnej myśli politycznej. On, który — przy całych swych znanych związkach z masonerią światową — był jednym z założycieli nacjonalizmu rumuńskiego był teraz ostatnim chorążym liberalizmu w jego walce z najbardziej barbarzyńskim obliczem tegoż nacjonalizmu. On, wychowanek uniwersytetów niemieckich, pełen takiego uznania dla wielkich postaci ducha niemieckiego, musiał teraz patrzyć na zwyrodnienie tego ducha, którego w końcu i on sam stał się ofiarą. Głos jego był coraz bardziej zagłuszany i coraz bardziej gubił się w rozgwarze i powodzi barbarzyństwa zalewającej jego własną ojczyznę. I nie minął jeszcze rok od chwili kiedy Iorga kreślił swe wspomnienie o Dembińskim, kiedy przez dziwne jakieś fatum jemu samemu przyszło stać się ofiarą tego samego — choć pod innym kolorem — barbarzyństwa, tej samej zbrodniczej, choć pod chwilowo inną maską występującej, ale z tego samego miejsca kierowanej ręki. I teraz my możemy się zapytać „Dlaczego los okrutny zawziął się i przeciw takim ludziom jak Iorga?".

Jan Reychman

2) Cytowane na podstawie polskiego przekładu w „Kurierze Polskim" (Bukareszt) 17 marca 1940.

3) Cytowane na podstawie „Głosu Polskiego" (Paryż) 30 stycznia 1940.

Tom szczytów i dolin

„Wiersze, proza i przekłady" Janusza Kasperskiego, wydane nakładem „Oficyny Księgarskiej", są pozycją literacką nadzwyczaj nierówną. Obok bardzo ciekawych i udatnych pociągnięć, napotykamy tam przestraszające wprost nieudolności, jakby poeta chciał pokazać, że tyle umie wspiąć się w górę, ile opaść poniżej poziomu. Mimo to „lepsza połowa" Kasperskiego warta jest przeczytania i książka, w całości, staje się warta nabycia.

Kasperski jest pod zdecydowanym wpływem poezji francuskiej, z której przekłady zamieszcza przy końcu tomu. Powiedziałbym, że autor jest polskim odbiciem Baudelaire'a, co jest, być może, stwierdzeniem nieco ryzykownym, ale w każdym razie już samo takie zestawienie może świadczyć o pewnej skali literackiej z jaką do Kasperskiego należy podchodzić.

Układ zawartości leżącego przede mną tomu jest oryginalny; oprócz trzech rodzajów twórczości wymienionych w tytule, spotykamy tam obraz sceniczny i kilka dialogów.

Tom Kasperskiego, to typowa książka dla inteligenta będącego wyrafinowanym smakoszem literatury. Zarówno prozą poetycka, jak i obraz sceniczny dalekie są od lekkostrawności i w żadnym wypadku Kasperski nie może być traktowany jako „coś lekkiego", jako książka „do poduszki", Kasperskiego nie można „sobie poczytać", tę książkę można czytać, czytać, to znaczy pracować nad nią intelektualnie, wchodząc z trudem w zawartość stronic, z obiektywnym przekonaniem, że nie odstraszy nas na początku żaden zgrzyt, ani nie damy się porwać przez żaden z barwnie namalowanych obrazów. Przy czym z góry już do oceny twórczości Kasperskiego należy przygotować sobie cyrkiel, który potrafiłby objąć wszystko od maleńkich, nieporadnych i niedojrzałych wypowiedzi pseudoartystycznych, aż do naprawdę uderzających i świetnych scen w rodzaju chociażby „Nauczyciela muzyki". Ta olbrzymia przesuwalność skali wartości literackiej, wprowadzająca nas w ruch falowy, podczas którego z doliny wznosimy się na szczyt i ze szczytu zsuwamy w dolinę zmusza nas do specjalnie bacznego wyboru kryteriów, na podstawie których oceniać będziemy książkę. W przypadku, jakim jest tom Kasperskiego, uleganie pierwszemu wrażeniu jest wysoce niebezpieczne, gdyż może być ono niczym innym, jak odbiciem i utrwaleniem się w nas wrażeń z poprzednio poznanych utworów autora i bezwiednym oddziaływaniem ich na czytany fragment.

Wiersze poety odznaczają się wielkim, melancholicznym spokojem, są obrazowe, wyraźne w konturach i stwarzają nastrój. Umiejętność wydobycia właściwego nastroju przez dobór scen to może jedna z najwartościowszych cech twórczości Kasperskiego. Zdolność operowania kontrastem, rzucania cieni i świateł, kunszt metaforyczny — wysokie.

Weźmy jako przykład pierwszą strofę najlepszego, zdaniem moim, wiersza „Oślepiająca jasność":

„Oślepiająca jasność jak nóż wyostrzona,
Biały upał południa na alejek piasku,
Ociężałe i tłuste śpią w słonecznym blasku
Dzieci niby poczwarki, w wózkach jak w kokonach."

lub zakończenie wiersza „Listopadowe miasto":

„Są jeszcze wiersze twarde, gorzkie jak kasztany
I jeden liść opada w wierszach z każdym słowem.
A on stanął i myśli i odkrywa głowę:
Przed Nieznanym Żołnierzem — poeta nieznany."

albo też, taki przykład:

„Zostawił okno w spadku, świt, co się wylęga
jak z koguciego jaja, czekanie i deszcze.
Teraz ja w oknie staję, próżno okiem sięgam...
„Czy widzisz coś?" pytają.
I mówię: nic jeszcze."

Lecz nie wszędzie mamy do czynienia z tego rodzaju udanymi chwytami. Tam, gdzie Kasperski usiłuje zrzucić rygor strofiki, gdzie chce urozmaicić, wzbogacić formę, tam staje się dziecięco bezradny. Ma to miejsce szczególnie w erotykach, które są nad wyraz słabe, jak i w naśladowaniu wzorów klasycznych. Tutaj, na nowym podłożu Kasperski staje się banalny, prymitywny i niezdarny, zupełnie jakgdybyśmy wypchnęli siłą na lód człowieka na łyżwach... a ów nieszczęsny łyżwiarz stwierdza, że jeszcze nigdy w życiu nie widział lodu. Nic też dziwnego, że łyżwiarz-Kasperski potyka się, poślizguje, staje się śmiesznie niezgrabny i pragnie za wszelką cenę utrzymać równowagę. Nie jest to jednak wcale łatwe. Żeby jednakże temu zadośćuczynić, autor chwyta się najbliższych skojarzeń jakie wpadną mu na myśl, łapie za to, co jest pod ręką i widzimy tutaj łatwizny, o których można by powątpiewać, że są elaboratem tego samego pisarza, którego czytaliśmy przed chwilą. „Dusze, wszechbycia, wszechżycia, laury, rany i cierpienia" zamieniają się w jakąś mętną, egzotyczną filozofię, która niewiele ma wspólnego z poezją, a opisywane wieńce cierniowe poety stają się udziałem czytającego, który nie jest w możności wydobyć z roju „extra uduchowionych" słów ani konkretnej myśli, ani zdecydowanej wizji poetyckiej. Erotyki brzmią fałszywie i niemile. Typowym przykładem nieporadności może być wiersz, który przytoczę w całości:

„Miłość ostatnia jak róża spóźniona,
Miłość za późna już wiem że dozgonna...
Dom na niej buduj swój jak na opoce,
Miłości takiej piękny czyn owocem...
Niech cię uzdrowi jej spokojna siła,
Żebyś jak chora perła już nie była
Niech da ci spokój z ciszą obcowanie
Takie jest moje ludzkie Zwiastowanie."

Na szczęście na tym kończą się „chore perły" i przechodzimy do prozy poetyckiej, która, aby pocieszyć przyszłych czytelników i autora, jest mocną stroną tomu, prócz tych wypadków, w których Kasperski wypuszcza się na rozważania religijno-mistyczne i kontynuuje nieszczęśliwe tradycje „obcowania, zwiastowania i cierniowych koron". Dlatego też poza dialogami Sagittariusa z sąsiadem mamy tu do czynienia z rzeczywistymi i bardzo subtelnymi doznaniami artystycznymi, jakich również dostarcza nam w bardzo podobnych obrazach przełożony przez autora Jean Cocteau.

Prozę poetycką Kasperskiego nazwałbym prozą formistyczną, oddziaływanie jej bowiem jest skondensowane głównie na formie pełnej kunsztu i dającej nam ten sam niedopowiedziany efekt, jaki pozostawiają w nas wybitni poeci francuscy ostatnich lat.

Szczytowym punktem książki jest obraz sceniczny „Nauczyciel muzyki", który może nie nadaje się nawet do wystawienia na scenie, ale jako całość literacka jest znakomitym odzwierciadleniem nie tylko epoki, ale stanowi również znak rozpoznawczy „dobrej strony" twórczości Kasperskiego. „Nauczyciel muzyki" ma w sobie jakąś nutę romantyczną i spirytualistyczną, jest sceną uduchowioną, amaterialną, która przemawia do nas od strony duchowej naszych doznań, a nie od forsowanej dziś tak silnie strony zmysłowej. „Nauczyciel muzyki", to jakby świeżo odkryty fragment dzieł jakiegoś wybitnego dramaturga, czy poety z okresu romantyzmu. Powołanie do życia tego kunsztownego „antyku" winno umocnić w naszych oczach wspomniane tu już wartości autora jako literata.

Ostatnia część tomu, to przekłady z poezji francuskiej. Zdawałoby się, że nazwiska winny mówić same za siebie: Jean Moréas, Stephane Mallarmé, Guillamme Apollinaire, Jean Cocteau, a tymczasem... Trudno mi powiedzieć nie mając przed oczyma oryginałów, czy dobór tłumaczeń jest niefortunny, czy też same tłumaczenia nie oddają poziomu, który reprezentują poeci. W każdym razie poza doskonałymi w każdym calu tłumaczeniami Cocteau, resztę zaliczyłbym do miernych, ani umywających się do przykładów, jakie można by dziesiątkami cytować z antologii Ważyka i Staffa.

Jeśli chodzi o język Kasperskiego to jest on niezbyt wyszukany, ale przede wszystkim czysty i bezbłędny. Kilka napotkanych neologizmów nie razi, a nawet wręcz przeciwnie, świadczy o pewnej umiejętności ich tworzenia. Tę czystość języka trzeba szczególnie mocno zaakcentować, gdyż dzisiaj, niestety, nawet wśród najbardziej znanych poetów można doszukać się skandalicznych błędów, wywołujących przykre zdziwienie.

Jedyna pomyłka (nie jest to błąd w pełnym tego słowa znaczeniu), którą zdołałem wyłowić z tomu Kasperskiego, to nazwa kwiatu (Dianthus), który po polsku zwie się goździkiem, a nigdy gwoździkiem, gdyż ten nie oznacza kwiatu, a mały gwóźdź. Pomijając więc „gwoździk", Kasperski jest pod względem języka bez najmniejszego zarzutu.

Gdybyśmy chcieli zahaczyć o stronę moralną twórczości autora, to w kolejnej gradacji moglibyśmy stwierdzić, że jest ona z pewnością spirytualistyczna, teistyczna, chrześcijańska, ale czy katolicka? Pozory zdają się mówić, że tak. Zdają się świadczyć o tym wiersze tego rodzaju, co „Pax Tibi", czy „Modlitwa", ale prócz tych wypowiedzi przewija się w tej twórczości coś, co wydaje mi się niesubordynacją, chęcią tłumaczenia pewnych kwestii na własną rękę, z pominięciem czynnika autorytatywnego i to wyraźnie, zresztą, ziemskie upraszczanie zawiłych spraw może nasunąć niejakie wątpliwości, w wypadku gdybyśmy chcieli sprecyzować bliżej linie ideologiczną autora. Bo pamiętać należy, że wszelka krnąbrność, czy niesubordynacja może w danej chwili świadczyć za siebie i być czynnikiem, który zadecyduje o tym, czy Kasperski będzie stał w ramach, czy poza ramami nawiasu. Nie ma natomiast wątpliwości co do szczerej nuty patriotycznej, jaka dźwięczy w rodziale „1939 — 1945" i stanowi jeszcze jedną dodatnią cechę twórczości Janusza Kasperskiego.

Marek Antoni Wasilewski

FILM

SYMFONIA PASTORALNA

Film ten został uznany za najlepszy obraz francuski i otrzymał Wielką Nagrodę Narodową. Odbiega on bardzo od tego co można nazwać charakterem sztuki filmowej francuskiej. Atmosferą przypomina wstrząsający obraz duński „Dzień szału". W żadnym z nich nie ma tego co cechuje najbardziej pesymistyczne filmy francuskie t. zn. rozłożenia napięć, skontrastowania lekkości i tragizmu.

Wydaje się że koncepcja powieści A. Gide'a została tutaj w pewien sposób wypaczona. Być może jednak leżało to w intencji scenariusza. Przez zbyt mocne zaakcentowanie braku winy osobistej pastora problem w filmie uprościł się. Został przesunięty z koncepcji ideologicznej na komplikacje psychiczne jednostki.

Film grany jest wspaniale. M. Morgan zasługuje na pierwszą nagrodę za swoją fenomenalną w tej trudnej roli grę. Przekłady tekstów francuskich nasuwają pewne zastrzeżenia. Np. w ważnym momencie Gertruda mówi: „Jego stosunek do mnie był czysty", polski przekład brzmi: „był on dla mnie dobry". W sumie obraz który się pamięta, który warto zobaczyć.

***

PEPITA JIMENEZ

Nie wiadomo ile zapłaciliśmy za wprowadzenie tego filmu na nasze ekrany. Jedno jest jasne, że „Jasne Łany" są arcydziełem sztuki filmowej w porównaniu z „Pepitą". „Jasne Łany" mają ładne zdjęcia, podczas gdy w „Pepicie" nawet konie są brzydkie. Scenariusz straszliwy, montaż jeszcze gorszy, gra aktorów nie da się z niczym porównać. Wprowadzenie flirtu księdza in spe z piękną wdówką przy odmawianiu różańca jest niesmaczne — jak zresztą scena pogrzebu i traktowanie krucyfiksu jako przeszkody w romansie.

Na ekranie mężczyźni ronią łzy (dla podkreślenia „tragizmu" przeżycia), kobiety dostają ataków histerycznych — a publiczność śmieje się traktując wszystko jak egzotyczną farsę. Całość przedstawienia kończy się pięknie upozowanym „żywym obrazem".

Smutny jest ten debiut filmu meksykańskiego na naszych ekranach. Z czyjej winy? Wielka szkoda, że zamiast „Pepity" nie dotarł naprzykład dobry obraz psychologiczny „Maria".

Les-cy

Jan Dobraczyński

Książka nie dla recenzentów

Udało mi się zrobić w ciągu ostatnich tygodni (niestety — trzeba mówić o „udaniu się", — gdy chodzi o wyjazd piszącego!) dwa krótkie „wypady" na teren Ziem Odzyskanych: do Wrocławia i na Ziemię Lubuską. Naturalnie w obu wypadkach starałem się mieć oczy szeroko otwarte: możliwie dużo widzieć, a to czego nie mogłem zobaczyć — pytać. Pytaniem, które zadawałem po niezliczoną ilość razy było: jak się ludzie czują na Ziemiach Odzyskanych? Otrzymałem odpowiedzi bardzo różne, czasami sprzeczne. Nie będę tu o nich pisał. Utkwiły mi jednak w pamięci dwa powiedzenia, nie co może ogólne, lecz nawet w swej ogólności wielce trafne. Powiedział mi J. E. Ks. Hilik, Administrator Apostolski Dolnego Śląska: „póki ludzie nie zebrali pierwszego zbioru — czuli się rozmaicie; obecnie czują się dobrze". W Międzyrzeczu Lubuskim powiedział mi starosta: „póki żyli autochtoni osobno, a przybysze osobno — bywało rozmaicie; odkąd zdarzają się małżeństwa między przybyszami i autochtonami, zaczyna być dobrze".

Te dwa powiedzenia uzupełniają się doskonale. Proces zasiedlenia Ziem Odzyskanych nie jest procesem prostym. Mam zresztą nadzieję, że nikt go w ten sposób nie pojmował. Na Ziemiach Odzyskanych wyrasta nowa ludność, i nie jest wcale rzeczą obojętną jakie będzie jej oblicze. Mamy do czynienia ze zjawiskami tworzenia się obyczajów, kształtowania charakteru, krystalizowania form życia.

Mieszkańców Ziem Odzyskanych nie można traktować jak dzieci, którym wystarczy powiedzieć tego i tego wam nie wolno... (Zwracam uwagę na fenomen, którego przyczyn nie umiem sobie jeszcze w tej chwili objaśnić, że, jak podaje świeżo wydany Rocznik Statystyczny na r. 1947, na Ziemiach Odzyskanych jest **najmniejszy** % ludności w wieku do 18 lat, i **największy %** — w wieku powyżej 60 lat). Społeczeństwa nie tworzą się na rozkaz. Muszą wyrosnąć same. Muszą wytworzyć własną harmonię i w tej harmonii krzepnąć. Co tu dużo mówić: muszą stać się zbiorem dobrym, mocnych i licznych rodzin, zbiorem dobrze prosperujących i dających dochód czy zbiór warsztatów pracy, zbiorem pracujących nad urobieniem moralnym parafii. Te sprawy związane są ze sobą nierozłącznie: Kościół wychowuje człowieka, praca wiąże go z ziemią, rodzina tworzy sieć nowego społeczeństwa. My, tutaj, w Warszawie możemy mówić o rozmaitych racjach Ziem Odzyskanych. Nie żądajmy jednak, aby ktoś zamieszkał pod Słubicami dlatego tylko, aby nasze granice z Niemcami były krótsze, lub darł jałowy, mazurski piach tylko dlatego, że Niemcy do Mazurów nie mają żadnego uczciwego prawa! Kto ma ziemię jakąś zasiedlić, musi się z nią zrosnąć pracą i uczuciem. W naszym podziewiętnastowiecznym racjonaliźmie często szukamy argumentów, które nikogo nie biorą. To bardzo dobrze, że ukazują się książki tak wspaniałe, jak zbiorowa praca pt. „Dolny Śląsk", wydana przez Instytut Zachodni. Książki takie są potrzebne dla nas, którzy nie jesteśmy kolonistami, dla zagranicy. Ale kolonista nie zamieszka w powiecie międzyrzeckim dlatego, że na jego terenie, w Łagowcu, Bukowcu i Chlastawie są przecudne, arcypolskie, drewniane kościołki z 16 wieku (którymi, nota bene, nikt się nie zajmuje i którym grozi ruina), ani też nie zamieszka w Trzebnicy przez pamięć dla św. Jadwigi. Kolonista chce żyć w kręgu Kościoła, rodziny, i dającej mu utrzymanie, a także zadowolenie, pracy. Mieszkaniec Ziem Odzyskanych wcale nie ma ochoty być na codzień bohaterem, którego się bez końca z dalekiej Warszawy do bohaterstwa podnieca. Chce się zasiedzieć, zwyczajnie i po prostu zasiedzieć. Chce na terenie, który sobie wybrał, lub który mu los wyznaczył, poczuć się dobrze. I trzeba o tym myśleć, aby mieszkaniec Ziem Odzyskanych poczuł się dobrze. Aby nie był pionierem, który, po zmęczeniu się, wróci pod Sochaczew czy pod Częstochowę. Aby już w ogóle nie miał zamiaru się ruszać z miejsca. Aby wrastał w swe otoczenie, w ziemię, w sąsiadów. Aby zabytkowy kościół był dla niego kościołem, w którym się modli, przystępuje do Stołu Pańskiego — i w którego cieniu, kiedyś, będzie chciał być pochowany. Aby sąsiad, autochton stał mu się zięciem czy teściem. Aby wileńskie „ciągnięcie" zrosło się w jedno z mazurską „pogwarką", aby wreszcie losy życia mieszkańca Ziem Odzyskanych przestały być tematem „opowiadań o „bohaterach poświęcenia" czy o „bohaterach szabru", ale stały się zwykłą historią ludzką.

Skoro sprawa Ziem Odzyskanych ma być najważniejszą sprawą naszego życia państwowego, — a jest nią niewątpliwie, — trzeba aby znów tysiące rzeczy, które muszą być zrobione, by na Ziemiach Odzyskanych zamiast płynnej mozaiki ludzkiej wyrosło jednolite i z ziemiami związane społeczeństwo, zrobiona została także rzecz ważna i wcale nie błacha: aby została napisana powieść o ludziach na Ziemiach Odzyskanych. Powieść — nie reportaż, który jest konfrontacją pisarza ze zjawiskiem niecodziennym. Powieść Zwyczajna, prosta i szczera powieść. Powieść, nazwijmy to tak: obyczajowa, bo tylko ona jest świadectwem stabilizowania się społeczeństwa. Powieść — i to jest rzecz ważna, — która, mniejsza z tym czy będzie czytywana przez bywalców „Kopciuszka", lub tej cukierni w Sukiennicach, w której się ludzie zawsze ze mną umawiają, gdy jestem w Krakowie, a ja w żaden sposób nie mogę zapamiętać jak się nazywa — ale przede wszystkim, i masowo przez ludzi Ziem Odzyskanych. Wielkie połacie Polski żyły książkami Rodziewiczówny. Śląsk żyje Morcinkiem. Ziemiom Odzyskanym trzeba pisarza, który byłby z nimi związany, jak Mauriac z „landami" wokół Bordeaux. Trzeba powieści, która by dokończyła procesu zrastania się ludności na tym terenie.

Czy taką miał ambicję Eugeniusz Paukszta, pisząc swą pierwszą powieść?*) Wydaje mi się, że tak. Paukszta sam jest przesiedleńcem i sam wylądował podobnie jak jego bohaterowie pewnego szarego dnia w Rastemborku. Ale nie należał do tych co siedzieli bezradni i zrozpaczeni, niby wyrwane z doniczki kwiaty, nie należał także do tych, co z determinacją postanowili czekać. Nie rozpaczał i nie czekał — wziął się do pracy. Poświęcił się cały publicystyce Ziem Odzyskanych. Pisał z energią i co ważniejsze ze szczerym przekonaniem. Szybko wysunął się na czoło, tych, co coś wiedzieli o problematyce Ziem Zachodnich. Orał solidnie, płacąc za to zdrowiem, nie wzmocnionym, niewątpliwie niemieckim obozem. Ale w końcu wyorał sobie pozycję publicysty. A to, że pisał i mówił, iż Ziemie Odzyskane muszą być katolickie, i nie tylko z nazwy katolickie, że na pograniczu narodu katolickiego nie może być pas jakiegoś religijnego indeferentyzmu, jakiegoś moralnego **„laissezfairyzmu"** — obce go całemu narodowi — zbliżyło go do nas.

Ale konspirując się, nawet przed przyjaciółmi, Paukszta pisał powieść. W Polsce publicystyka rodzi literatów i wyniki tego nie są najgorsze; vide Prus. Nie przerażało mnie to nigdy, że ktoś przechodzi od publicystyki do literatury, byle w pewnym momencie umiał wypuścić z ręki jedną ze srok. Publicystyka wprawdzie ciąży przez pewien czas na takim, świeżo upieczonym literacie, ale i to nie szkodzi. Są literaci, którzy dochodzą formy w skupieniu i w czterech ścianach, są inni, którzy do niej dochodzą „na skórze" czytelnika. Ta druga forma jest bądź co bądź naturalniejsza. Nie każdy ma cierpliwość i samokrytycyzm Gołubiewa. Pisarzowi trzeba w dochodzeniu do formy pomagać.

Paukszta napisał powieść. Pisarz rzadko myśli dla kogo swoją rzecz pisze. Z wyjątkiem „speców" od młodzieży, literaci piszą swe książki albo dla publiczności albo dla 23 (dwudziestu trzech) tzw. recenzentów literackich, utrzymywanych zazdrośnie przez tyleż płacących pism o ambicjach literackich. Kto pisze dla publiczności, ten pisze dla dziesiątków tysięcy. Kto pisze dla recenzentów, pisze dla 23 zgryźliwych osobników, posiadających „hobo" zbierania książek z dedykacjami, których zresztą z zasady nie czytają, aby móc być całkowicie twórczymi i odkrywcami w swoich recenzjach dla 23 odpowiedników recenzentów płci odmiennej oraz dla kilkudziesięciu „literatów" w rodzaju Koźniewskiego, Tyrmanda i Kisielewskiego, którzy mają siły i sumienie, by czytać od deski do deski całą literacką prasę. Publiczność zadowolić łatwo, wystarczy byle Sienkiewicz. Recenzentów nie zadowoli się nigdy, choćby się ich prosiło o „najsprawiedliwszą ocenę", z zasady zadawala ich tylko pisarz w randze ministra (z wyjątkiem Putramenta). Kto pisze dla publiczności, ostatecznie utrzyma z tego żonę i niemajdańską liczbę dzieci. Kto pisze dla recenzentów, tego żony muszą ciężko pracować jak pani Kisielewska, pani Koźniewska, pani Brezowa... Ostrzegam więc w tym miejscu panią Hankę!

Nie wiem bowiem dla kogo swą powieść chciał przeznaczyć Paukszta: dla publiki ziemi odzyskanej, czy dla recenzentów. Ja mu osobiście radzę, aby na wszystkie recenzje z niniejszą włącznie—machnął ręką. Recenzenci wyszukają w powieści na pewno słabe strony: ludzie są papierowi, mówią artykułami. Nic nie szkodzi. Za to jest ładny, wartki i niebanalny, choć prosty język. To nie jest może perliste cudo, jak u Żukrowskiego, ale za to mamy język, w którym się czyta najłatwiej. Mamy dalej zrozumienie ziemi i przyrody — rzecz w młodszym pokoleniu pisarzy w ogóle nieznana. Jeśli ludzie w książce są czasami zbyt papierowi, to nie papierowe są u Paukszty konie, krowy, psy i koty. Nie jest papierowa trawa i zboże, las i rzeka. I nie papierowymi są bóle i troski, którymi żyją bohaterowie.

Paukszta podpatrzył swoich przesiedleńców od strony ich kłopotów kolonizatorskich. Nie zabrakło mu odwagi i szczerości, by mówić o rzeczach przykrych. „Trud ziemi nowej" jest naprawdę trudem, a jeśli powieść kończy się akordem miłości dwojga ludzi, to dlatego, że ten akord można naprawdę usłyszeć na Ziemiach Odzyskanych — pocieszający, pierwszy akord tworzenia się nowego społeczeństwa.

Nie wiem dla kogo pisał Paukszta swoją książkę, ale powinien był ją pisać przede wszystkim dla przesiedleńców i dla autochtonów. Szkoda, że powieść kosztuje tak drogo — przy cenie 750 zł. książka nie ma możności zbłądzenia pod strzechy. Powinna była być tańsza. Ba, powinna była być w połowie nakładu drukowana zwyczajnie, a w połowie „szwabachą". Żeby mogła dotrzeć do mazurskiego chłopa. A wtedy, myślę, zrobiłaby więcej dobrego niż sto zarządzeń najmądrzejszego starosty.

Powieść jest prosta, jak bywały powieści Rodziewiczówny lub powieści Morcinka. Mamy do czynienia z debiutantem, ale z debiutem, który artystycznie zapowiada dużo. A jako „propagandówka", książka jest świetna. Oby wszystkie „propagandówki" były takie! Jest także peł na autentyzmu, — co ma swoją wymowę, gdy się pomyśli że literat, aby móc poznać Ziemie Odzyskane, nie w parodniowym wypadzie, ale naprawdę, ma tylko jedną drogę: zapłacić **ogromną cenę za bilet i jechać tam na własny koszt...**

Niech mi drogi autor wybaczy lekkomyślny ton tej recenzji. Po paromiesięcznym ślęczeniu kamieniem nad pracą grubszego kalibru, poniosła człowieka chęć wyładowania się w szaleńczej dezinwolturze. Poza tym odkąd Kisielewski zaczął pisać na smutno, ja muszę starać się pisać na wesoło. (Może dzięki temu nie będą mnie ludzie brali tak strasznie na poważnie i pozwolą popełnić od czasu do czasu jakąś małą herezję). Ale że tym razem nie piszę stylem kapelana „Dziś i Jutro", nie chciałbym narazić się na urazę ze strony autora „Trudu ziemi nowej". Straszne są te urazy Wilnian. Potem taka Sławińska każdą książkę człowiekowi sponiewiera...

Jan Dobraczyński

*) Eugeniusz Paukszta „Trud Ziemi Nowej". — Wyd. Księgarni Ziem Zachodnich. Poznań 1948 r., str. 488.

Serce ukrzyżowane

Serce ukrzyżowane na drewnianym krzyżu
przedwczoraj zmarło.
I zdjęli je i do ziemi włożyli,
łzami polali, łzami skropili,
a serce dziś rano
zakiełkowało.

Czerwony kwiat
chodzi ano po ziemi i po niebie
Pana Boga wielbi:
w domach publicznych,
w cuchnących rynsztokach, przesmykach,
w koszarach,
w podmiejskich domkach, fabrykach
i rzecze całemu światu:

Ja — miłość,
kwitnę kwiatu
raną otworzoną,
by wszyscy niewierzący
żelaznym życiem rozbici
i wszyscy chorzy
mogli w nią palce włożyć.

Jerzy Wolker (Tł. M. Petry)

W kraju...

17.I **Po niedawnej „mowie wrocławskiej" jesteśmy obecnie świadkami ponownej wypowiedzi Prezydenta Bieruta, poświęconej sprawie planowania w nauce. Prezydent zabrał głos na inauguracyjnym posiedzeniu Rady Głównej do Spraw Nauki i Szkolnictwa Wyższego w dyskusji nad referatem Wiceminister Krassowskiej. Z ust przedstawicielki Ministerstwa Oświaty padło tam m. in. zapewnienie, że nie zamierza się forsować żadnego świato-poglądu środkami administracyjnymi. Prezydent ze swej strony obszerny ustęp przemówienia poświęcił uzasadnieniu konieczności planowania w nauce podkreślając, iż samej idei planowania nie należy wulgaryzować i że jest ona słuszna i realna tylko w określonych warunkach ustrojowych i tylko w określonym zakresie może przynieść pozytywne wyniki. Planowanie, zdaniem Prezydenta, winno być dostosowane do specyficznych warunków, charakterystycznych dla każdego kraju i w każdym musi przybierać odmienną formę... „Inny zasięg i inny charakter ma planowania w ZSRR, inny w krajach demokracji ludowej, a jeszcze inny np. w Anglii"... — mówił Prezydent Bierut. Przechodząc do problemu upowszechnienia nauki, oświaty, kultury i sztuki sprecyzował Prezydent zupełnie jednoznacznie, swój pogląd na sprawę upowszechnienia odcinając się kategorycznie od tendencji utożsamiania tego terminu z obniżaniem poziomu. Upowszechnienie „nie oznacza też w żadnym razie ograniczenia wolności pracy badawczo - naukowej"— powiedział Prezydent.**

Drugą z kolei wypowiedź Głowy Państwa w tak niewielkim odstępie czasu trzeba traktować jako charakterystyczny objaw, zapoczątkowanej, jak gdyby symbolicznie słynną mową wrocławską, ofensywy Państwa na odcinku kulturalnym. Sprawom tym zamierzamy poświęcić oddzielny artykuł w jednym z najbliższych numerów naszego pisma.

ZMIANY W RZĄDZIE

Mianowanie prof. Wacława Szymanowskiego Ministrem Poczt i Telegrafów w miejsce ustępującego dr. Józefa Putka nie wpłynęło na zmianę klucza partyjnego, gdyż zarówno nowomianowany minister, jak i jego poprzednik są członkami tego samego stronnictwa (SL).

ODWAŻNA INICJATYWA

Ostatni numer „Tygodnika Powszechnego" zawiera słuszną krytykę Dziennika Urzędowego Ministerstwa Oświaty Nr. 4, w którym na str. 146 w programie biologii dla klasy piątej szkoły podstawowej przewidziano jako temat do przerobienia z dziećmi przeciętnie jedenastoletnimi, z chłopcami i dziewczynkami razem przebywającymi w klasie — omówienie położenia, roli i funkcji narządów płciowych człowieka. Sprawozdawca „Tygodnika Powszechnego" nie dodaje, że nauczycielstwo, zwróciwszy na to uwagę na konferencjach rejonowych, wezwało Wydział Pedagogiczny Oddziału Stołecznego do wypowiedzenia się w tej sprawie. W rezultacie powyższej akcji Wydział Pedagogiczny wypowiedział się za skreśleniem tego tematu z programu szkoły podstawowej.

Oczywiście decyzja Wydziału Pedagogicznego w niczym nie tłumaczy redaktorów Dziennika Urzędowego Min. O. Tym niemniej zdrowy odruch nauczycielstwa Stolicy nie powinien być przemilczany, gdyż świadczy o należytym rozumieniu przez polskich wychowawców wagi problemu moralnego w sprawach nauczania. Z drugiej strony skuteczne przeciwstawienie się poronionym mimo, że wysoce autorytatywnym nakazem dowodzi, iż wbrew mniemaniu wiecznych malkontentów pozytywna krytyka bywa czasami uwzględniona.

23.I

Zbrodnia w Dzielnicy Północnej

18

Stefan Kisielewski (Kisiel)

— Zaaprobował, zaaprobował — a co miałem robić? Wiem, że pan ma sprężynę w d... i jak nie to, to zmajstruje pan coś jeszcze gorszego. Wy z Policji Śledczej ciągle musicie coś robić — to wasza choroba — nie rozumiecie, że w politycznej robocie trzeba czasem przeczekać. Widzę w tej całej wyprawie więcej strat niż korzyści.

— Jeśli chodzi o Edwarda Lore, to naprawdę nie pojmuję...

— Ja za to doskonale pojmuję: zwiał i koniec. To był członek ich Komitetu Naczelnego, przeznaczony do specjalnych poruczeń. Ale zresztą niech go wszyscy diabli — teraz mamy lepszy pasztet przed sobą: tego piekielnego Hagewanda. Cóż ten Alen narobił — spisał się nie gorzej od pana. To mu się pierwszy raz w życiu zdarza, wszystko znowu przez baby — żeby stary agent dał się opętać tej sentymentalnej gęsi... Niepojęte! Ale mówię — dosyć płaczów nad rozlanym mlekiem — trzeba pomyśleć o Hagewandzie.

— Przecież zdobył tylko szyfr — wtrącił komisarz.

— Szyfr, szyfr — a jeśli go rozwiąże? On jest dziesięć razy sprytniejszy od tych partaczy ze „Świata Nowego". No — nie chciałbym widzieć naszego miasta, kiedy ci szaleńcy wezmą się do roboty.

Zapadło milczenie. — Ten człowiek ma głowę — pomyślał z niechętnym uznaniem komisarz. Przez chwilę siedziel w milczeniu; Gromel rozejrzał się po ponurym, tak dobrze sobie znanym pokoju; rzucił okiem na dywanik przed łóżkiem: plama ciemniała na swoim miejscu.

— Ale to nie oni zabili profesora i Luizę Lore — przemówił nagle, zupełnie dla siebie niespodziewanie.

Pikron skrzywił się, jakby mu pieprzu do ust nasypano.

— Oni, nie oni — to teraz nieważne. — Najzdolniejszą agentkę mi sprzątnęli — mruknął po chwili jakby sam do siebie.

— Agentkę?!

— No, a co pan myślał?! Jakże byśmy pilnowali profesora, gdyby dozorczyni nie pracowała z nami? Zazdrosna była — to całe szczęście.

— Zazdrosna?!

— Co pan się dziwi, jakby się pan dopiero narodził?! Acha — zapomniałem: policja śledcza tym się odznacza, że nic nie umie wyśledzić! Ale dosyć tego — pomyślmy o Hagewandzie. Chyba, że panu życie nie miłe.

Znowu zapadła cisza. Była to wibrująca, dzwoniąca w uszach cisza pokoju śmierci, którą komisarz znał tak dobrze— wsłuchiwał się w nią przecież nie jeden raz. Mimowoli spojrzał w kierunku drzwi: telefon już się nie odezwie — pomyślał jakby z nieuchwytnym żalem. Było to obiektywnie stwierdzenie niezbyt słuszne: telefon mógł się przecież odzwać. Ale już nie ten telefon, już nie zadźwięczy w słuchawce niski, gardlany, hiszpański głos. Komisarz nie wiedział jeszcze o tym, że przesłuchując Henriettę Iberra nabrał upodobania do tej inteligentnej, silnej i opanowanej kobiety, zresztą, gdyby mu to ktoś powiedział (co było niemożliwe) — oburzyłby się bardzo za posądzenie o sympatię dla przestępczyni. Nie wiedział o tym, ponieważ był w owych sprawach zupełnie niedoświadczony — takim zresztą miał pozostać, bowiem Henriettę Iberra zamknięto w więzieniu na długie, długie lata.

Nagle radca Pikron przerwał milczenie. Głos jego był tym razem inny: miększy, powolniejszy, refleksyjny i — o dziwo — zgoła uprzejmy.

— Panie komisarzu — mówił powoli i z namysłem — czy widzi pan te książki w bibliotece, tam, na najwyższej półce?

— Oczywiście.

— Czy nie uważa pan, że są one ustawione luźno?

— Tak jest.

— Czy nie sądzi pan, że w dniu morderstwa były one ustawione zupełnie ciasno, bez żadnej luki?

— Jestem nawet tego pewien.

— Jak pan to tłumaczy?

— W sposób bardzo prosty: jedna z książek została wyjęta i zabrana.

— Słusznie — jak na komisarza Policji Śledczej to wcale inteligentne (radca powracał już do zwykłej sobie arogancji). A któż to mógł zrobić?

— Ja.

— Co takiego?! — zdumienie radcy było niewątpliwym sukcesem komisarza.

— Ja wyjąłem stąd książkę, panie radco.

— Jaką książkę?

— Biblię w ozdobnym wydaniu Ercharda.

— Biblię Ercharda?!

— Tak — odrzekł komisarz, pomyślawszy na marginesie, że tym razem radca dopytywał się w sposób łagodnie mówiąc, nie dowodzący szybkiej orientacji.

— Poco?!

— Ponieważ w niej właśnie znalazłem ukrytą notatkę, zawiadamiającą, że testament profesora Galarda przechowywany jest u rejenta Randena.

Czy widzieliście kiedy przy rozbieraniu karabinowego zamka wyskakującą w powietrze sprężynę, zwaną bezpiecznikiem samoczynnym? Jeśli nie widzieliście jej, nie możecie mieć najlżeiszego wyobrażenia o tym, co zrobił radca Pikron. Bezpośrednio z fotela i z postawy siedzącej dokonał skoku takiego, że sięgnął czubkiem łysej głowy do połowy wysokości pokoju. Spadł na równe nogi, po czym zaczął wykonywać gwałtowne ruchy człowieka, pragnącego wyskoczyć z własnej skóry, a conajmniej z własnego ubrania — przypominało to również nieco t. zw. „taniec św. Wita". Robiąc to wszystko ryczał, jak obdzierany z tejże skóry:

— Dlaczego do przenajcięższej cholery nie powiedział mi pan tego od razu, przeklęty niedołęgo! Do cholery, do cholery, do cholery!!

Wykrzykując te ostatnie słowa radca potrząsnął komisarzem jak gruszkowym drzewem, trzymając go za oba ramiona. Komisarz z wrażenia zapomniał nawet obrazić się, wbił jedynie w tamtego osłupiałe oczy.

— Nie ma ani chwili do stracenia — ryczał Pikron. — Trzeba zatelefonować do Randena. Już, biegiem, natychmiast! Gdzie tu jest telefon?!

Oniemiały w dalszym ciągu Gromel wskazał bez słowa przedpokój. Radca rzucił się tam, przewracając krzesło. Chwycił słuchawkę i gwałtownie jął nakręcać numer. Twarz jego przypominała swoim wyrazem twarz dżokeja na finiszu wyścigu. Sapał ciężko. Komisarz patrzył weń jak zahypnotyzowany. Trwało to długą chwilę: nagle radca cisnął słuchawkę na widełki.

— Telefon u rejenta wyłączony! — krzyknął. Jedziemy do Rzymskiego Zaułka! Teraz! Natychmiast!

Jak szaleńcy zbiegli po schodach Policjant czuwający na dole cofnął się o krok, zapominając salutować — usta otworzył za to bardzo szeroko. W bramie stał poważny jak zwykle sierżant Kalk; Gromel chciał wydać mu instrukcje, lecz radca nie pozwolił na to. Siłą wprost wytarmosił komisarza na ulicę.

— Do taksówki, prędzej — rzęził. Gromel nie miał czasu zastanawiać się nad groteskową absurdalnością sytuacji, całą energię skoncentrować musiał na do trzymaniu kroku radcy, który biegł jak jeleń. Wreszcie znaleźli taksówkę z drzemiącym szoferem i skoczyli w nią roztrącając się o drzwiczki, których o mało co nie wyrwali. Za chwilę pędzili wzdłuż bezludnych bulwarów Dzielnicy Północnej

Teraz dopiero w komisarzu zapaliła się na dobre ciekawość. Odczekawszy chwilę, wystarczającą, sądził, aby radca się wysapał, zagadnął go:

— O cóż to właściwie chodzi, panie radco?

Pikron odpowiadał z niespodziewaną wylewnością.

— O to, drogi panie, że testament profesora Galarda, przechowywany przez Randena, zawierał wie pan co?

— Nie, nie wiem.

— Wyjaśnienie szyfru — rozumie pan? To jest szyfr książkowy: cyfry rzymskie i arabskie oznaczają numery stronic, numery wierszy na stronicach oraz numery liter w wierszach. Testament nie informował tylko o jednym: jaką książką należy się posłużyć. Bez tego szyfr jest nie do odczytania. Mieliśmy więc wytłumaczenie systemu szyfru, ale nie mieliśmy tytułu książk, ani samego szyfru. Teraz sprawa się wyjaśniła — żebyż pan mi to wcześniej powiedział! Umieszczenie notatki w tej właśnie książce było znakiem — biblię Ercharda mieliśmy przecież wszyscy — to jasne, jasne jak słońce...

— Wszyscy?

— Tak, to znaczy... to jest... grupa przyjaciół

— Masoni — pomyślał komisarz. Głos no zaś zapytał.

— Ale przecież to nam jeszcze nie wystarczy: pan Randen ma wprawdzie wyjaśnienie szyfru, mamy książkę — ale nie mamy samego tekstu szyfru.

— Tak, ale Hagewand go ma.

— Cóż z tego?

— Panie komisarzu złoty — radca strzepnął niecierpliwie ręką — czy pan naprawdę jest zdania, że w policji wcale nie potrzeba myśleć? Nie wiemy przecież, czy Randen... czy Hagewand.. czy... — wszystko jest możliwe. Randen pracował dla mnie w „Narodzie Przebudzonym" ale on... on pewno o tym nie mówił — mogli go zmusić. No, zresztą — nie będę panu opowiadał detali. To jest całkiem jasne. Randena może już tu nie być. A wtedy z nami źle.

Dla komisarza nie wszystko w tej odpowiedzi było „całkiem jasne". Zamilkł jednak.

Fragmenty pogrążonej we śnie i z rzadka oświetlonej latarniami stolicy migały w pędzie jak ułamkowe odcinki taśmy filmowej: tu urywek obrazu pionowy, ucięty z boków, ówdzie poziomy — zredukowany od góry i od dołu. Minęli już ustronne różnokolorowymi neonami bulwary — samochód zagłębił się w położoną na uboczu dzielnicę willową. Samotne lampy łukowe oświetlały ujęte w ramy ogrodów asfaltowe uliczki, blask docierał aż do białych ścian pałacowych — drzewa pozbawione liści nie dawały żadnej zasłony. Komisarz zaczął poznawać ulice — był tu przecież niedawno. Nagle auto stanęło.

— Jesteśmy — sapnął radca. Kazał szoferowi czekać i za chwilę szarpali gwałtownie rączkę dzwonka. Długo wsłuchiwali się w brzmiący wewnątrz słodkawy, metaliczny dźwięk, zanim wreszcie w środku dały się słyszeć ostrożne kroki.

— Kto tam? — był to głos lokaja.

— Pikron!

Tym razem drzwi otworzyły się natychmiast. Pikron wpadł do środka, o mało nie przewracając lokaja — komisarz, który od pewnego czasu czuł się, jak pogrążony w maniakalnym śnie, posuwał się ostrożnie za nim. Znaleźli się w hallu.

— Gdzie twój pan?! — ryknął Pikron, chwytając lokaja za klapy.

— Pana hrabiego nie ma w domu — zaanonsował dostojnie.

Pomimo tej niezwykłej pozycji majordomus ani na jotę nie zmienił sposobu bycia.

— A kiedy wyszedł?! — Pikron aż popluł się przy tym pytaniu.

— O dziewiątej rano pan hrabia otrzymał jakiś telefon, poczem wyszedł, nakazując mi wyłączyć telefon.

— Nie mówił, dokąd idzie?

— Pan hrabia nigdy nie mówi, dokąd idzie.

— Chodźmy do biblioteki! — wrzasnął furiacko Pikron i rzucił się w kierunku drzwi na wprost. Komisarz podążył za nim.

Biblioteka była urządzona wspaniale, z wielkim przepychem i smakiem, lecz radca Pikron nie pozwolił Gromelowi podziwiać jej w spokoju.

— Nie ma Biblii, nie ma Biblii! — wył, tańcząc niemal przed szafami bibliotecznymi. Tu stała, tu — a teraz jej nie ma — zabrał ją z sobą! Pan rozumie, rozumie pan?! Już wiedział! Już wiedział!!

Znów chciał pochwycić, tym razem komisarza, za klapy marynarki, lecz ten przezornie się cofnął. Lokaj patrzył na wszystko z powagą, jakby nie działo się tu nic niezwykłego.

Nagle radca zmienił się nie do poznania Znieruchomiał, twarz mu zakrzepła, skrzeczący głos stał się suchy i urywany.

— Komisarzu — musimy natychmiast tam jechać — nie ma chwili do stracenia.

— Niech pan o nic nie pyta — dodał, wskazując wzrokiem lokaja. — Niech pan zejdzie do taksówki — ja muszę zatelefonować i zaraz przychodzę. Włączyć telefon! — to było skierowane do lokaja

Po dziesięciu minutach pędzili z powrotem w stronę Dzielnicy Północnej. Pikron patrzył przed siebie, sztywny i nieruchomy.

— Czy jedziemy do Zakładu Chemii?— spytał Gromel.

— Tak.

— Nie załatwiłem sprawy osłony.

— To nic — ja dzwoniłem po osłonę.

— Dostateczną?

Aż za bardzo. Chociaż z tymi diabłami nic nie wiadomo. Przede wszystkim sami musimy tam być jak najprędzej — przeszkodzić im. Każda chwila jest droga.

XVI

A może źle rozwiązałeś szyfr? — zapytał głuchy głos.

— Wykluczone — wskazówki w testamencie są bardzo drobiazgowe a to wydanie Biblii wymienione jest wyraźnie. Zresztą sam rezultat dowodzi właściwego rozwiązania: otrzymaliśmy nie szereg przypadkowych liter lecz rozmaite reakcje chemiczne, niestety nie mające nic wspólnego z tym, o co nam chodzi. Wynik więc jest dobry, tylko że...

— Tylko że co?

— Niemożliwe jest przecież, żeby Galard zadrwił sobie w ten sposób — nie, to nie do wiary — zresztą w jakim celu? Sądzę poprostu, że tekst, który posiadamy, jest również szyfrem — tym razem już nie książkowym.

— Jakże go rozwiązać?

Ha — nie będzie to sprawa łatwa — trzeba by poszukać specjalisty — ale musi też przy tym być Karol, który zna całokształt doświadczeń.

— Sądzisz, że na to będzie potrzeba dużo czasu?

— Niewątpliwie dobre parę dni.

— A tymczasem ten przeklęty szpicel zwali nam się tutaj!

— To możliwe.

Rozmowa powyższa toczyła się głęboko poniżej poziomu ulic, w wykładanym blachą pokoju, położonym pod piwnicami Zakładu Chemii. Tego pokoju komisarz Gromel w czasie swej niedawnej tutaj bytności nie widział: drzwi do niego, zamaskowane i automatycznie się zatrzaskujące znajdowały się w podłodze piwnicznego korytarza, który Gromel zwiedzał pod kierownictwem dziwacznego woźnego Zakładu, nie domyślając się, że ma pod nogami jeszcze jedno „podziemne piętro". Pokój był wielki, schodziło się do niego po żelaznych schodkach, oświetlony wspaniale, wyposażony w najrozmaitsze dziwaczne przyrządy, jakieś kotły, cylindry, rury, a także w aparat projekcyjny i mały ekran. Oprócz tego znajdował się tu stolik i kilka wygodnych foteli oraz coś w rodzaju pulpitu używanego w orkiestrach, oświetlonego podłużną żarówką i zaopatrzonego w nakrętkę za pomocą której przytwierdzało się do niego arkusz papieru. W chwili, kiedy toczyła się powyższa rozmowa, na pulpicie rozciągnięty, było coś, co niewątpliwie nie było papierem, przypominało raczej rodzaj pergaminu; ponakłówane były na nim niebieskim tuszem szeregi cyfr rzymskich i arabskich. Co to było — łatwo zgadnąć, jeśli ktoś uważnie śledził dotychczasowy przebieg dziwnych wydarzeń, związanych z tragiczną śmiercią profesora Galarda. Ten osobliwy pergamin, to była — ludzka

skóra. Obok ,na małym stoliku leżała Biblia we wspaniałym, pozłacanym wydaniu Ercharda oraz kilka kartek papieru, zapisanych wzorami chemicznymi. Przy pulpicie siedział nie kto inny, tylko rejent Filip Randen, który właśnie ukończył swą pracę — odcyfrowanie testamentu, rozmowa zaś, przytoczona powyżej, była rozmową rejenta ze starym woźnym Zakładu Chemii, rozciągniętym niedbale w głębokim fotelu. Jeszcze ktoś trzeci znajdował się w blaszanym pokoju: był to Karol Hagewand; z rękami w kieszeniach stał on oparty o ścianę, wpatrując się posępnie w rozpiętą na pulpicie skórę ludzką. Hagewand właśnie przerwał milczenie, które zapadło po ostatnich słowach hrabiego Randena:

— Komisarz nic nie zrobi, jeśli mu nie pomoże ten szatan Pikron. Jak właściwie jest teraz z Pikronem? To rzecz najważniejsza.

— O Pikrona możecie się nie troszczyć — podjął żywo rejent — uspokoiłem go zupełnie: on nie ma pojęcia, że ja potrafię rozwiązać szyfr — powiedziałem mu, że w testamencie nie było ani słowa o tym, jaka to może być książka. Zresztą on przekonany jest o mojej dla siebie wierności, sądzi, że ja was wciąż pilnuję — nie, nie, on tu nie przyjdzie w żadnym wypadku.

Dziwny woźny przemówił znowu swoim głuchym, podziemnym głosem

— Czy Pikron wie coś o mnie?

— O tobie?

— Kto ja jestem i co tu robię?

— Nie — on myśli, że jesteś agentem Hollona. Zresztą widział cię chyba tylko raz.

— Dobrze. Więc tego komisarza, jeśli tu przyjdzie, sprzątniemy i koniec — nie podobał mi się ten człowiek. Nic z nim nie mogłem zrobić wzrokiem — wiesz? Posłałem mu do biura tego przeklętego trupa, żeby się odczepił od nas, żeby już tu nie szukał, a on dalej tu węszy. Zniknie ze świata jak zdmuchnięty — myślę, że nikt się nawet o niego specjalnie martwić nie będzie: Pikronowi to pójdzie na rękę, ten wścibski pies mu tylko przeszkadzał — łajdakowi. Pies i wilk — tfu! Ale potem musimy tu na parę dni wszystko zlikwidować i Karol zajmie się tym szyfrem, ty, Filipie, musisz dalej uspokajać pana radcę, a ja pójdę znów do tego durnia Hollona, karmić go kokainą. Kiedy będziemy mieli szyfr rozwiązany, znowu się tu zamkniemy i wtedy — do roboty. Ta pracownia jest nie do wykrycia — Galard miał olej w głowie, choć tak nędznie skończył.

— Lecz możliwe, że ten komisarz Gromel tu nie przyjdzie — przemówił Hagewand. Wolałbym to, bo jednak jego śmierć może narobić wrzasku — to swego rodzaju sława.

c. d. n.

Z zagadnień gospodarczych

Splot przyczyn

Europa cała boryka się w okresie powojennym z dużymi trudnościami na drodze do osiągnięcia równowagi ideologicznej i gospodarczej. Istota trudności jest niemal ta sama we wszystkich państwach Europy. Jednakże nasilenie tych trudności oraz forma występujących na tym tle problemów są różne w poszczególnych państwach. Różnice, spowodowane całym szeregiem okoliczności, są specjalnie znaczne w wypadku tych państw, które uniknęły wojny jak np. Szwajcaria, Szwecja i t. p.

Mamy zamiar poświęcić parę słów Szwecji, której powojenne problemy ilustrują doskonale olbrzymią różnicę w ogólnej sytuacji gospodarczej w stosunku do wszystkich państw Europy, które przeszły wojnę, a które wskazują na bezpośredni związek z trudnościami i zawikłaniami, które nurtują Europę jako całość.

Druga wojna światowa przyczyniła się w sposób decydujący do obecnego rozwoju gospodarczego Szwecji. Dużą również rolę odegrała stałość wewnętrznego układu sił politycznych. W przeciwieństwie bowiem do innych państw Europy, Szwecja jest jednym z nielicznych wyjątków, gdzie wojna nie spowodowała zasadniczej zmiany w układzie tych sił. Pamiętać należy, że partia socjalistyczna, która doszła do władzy w 1920 r. (w 1917 r. była reprezentowana po raz pierwszy w rządzie) objęła ponownie władzę w 1932 r. po kilkuletniej przerwie od 1926-32. Od roku 1932 do chwili obecnej, t. j. przez piętnaście lat (z małą przerwą) partia ta kieruje rządami kraju.

Lata po 1932 r. były ciężkim okresem. Wspomnieć tu przede wszystkim trzeba o bardzo wysokim stanie bezrobocia (9% ogółu pracowników) oraz wiążącym się z bezrobociem dużym spadkiem produkcji (79% poniżej poziomu z 1928 r.).

Celem ożywienia życia gospodarczego rząd przeprowadził na dużą skalę zakrojony program robót publicznych. Wysokie zadłużenie będące następstwem takiej polityki wymagało drastycznych obciążeń społeczeństwa w formie dodatkowego opodatkowania (nadzwyczajny podatek dochodowy).

Akcja rządu została uwieńczona przezwyciężeniem depresji gospodarczej. Już w 1937 r. bezrobocie przestało praktycznie istnieć. Trwające przez kilka lat duże obciążenie podatkowe społeczeństwa opłaciło się per saldo, gdyż w ramach programu robót publicznych przeprowadzone zostały poważne inwestycje, np. w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego, komunikacji, a przede wszystkim w urządzeniach hydro--elektrycznych, które to inwestycje przyczyniły się do podniesienia standartu życiowego mieszkańców oraz do ogólnego rozwoju gospodarczego. Równolegle do powyższej akcji rząd zastosował na odcinku finansowym cały szereg środków interwencyjnych (np. kontrola cen, subwencje dla rolnictwa i niektórych działów przemysłu).

Podkreślić należy, że interwencyjna polityka rządu realizowana była bez jakichkolwiek wstrząsów w społeczeństwie kapitalistycznym, aczkolwiek polityka ta prowadziła do zasadniczych zmian w rozdziale dochodu narodowego.

Z jednej bowiem strony nastąpiło duże zubożenie warstw posiadających (nacisk podatkowy, celem sfinansowania inwestycyj), a z drugiej strony podniósł się standart życiowy warstw najuboższych. W ten sposób zasięg t. zw. wartwy średniej o typie „burżuazyjnym" znacznie się rozszerzył. Zaliczyć bowiem trzeba do tej warstwy większość robotników, których zarobki były bardzo dobre, którzy mieszkali w prawdziwie komfortowych warunkach i którzy nie odróżniali się całym swym sposobem życia od innych grup społeczeństwa.

Podniesienie stopnia zamożności robotników wywarło duże piętno na charakter szwedzkiego ruchu socjalistycznego. Socjaliści szwedzcy są mniej bojowi i mniej doktrynalni, niż w innych państwach, będąc tak samo zmaterializowani jak niesocjaliści.

Lata wojny były dla Szwecji okresem niespodziewanie dużej koniunktury. Szwecja weszła w okres pokoju tak zamożna, jaką nigdy nie była poprzednio.

1944 r. rząd opublikował swój powojenny program gospodarczy, który miał na celu nie dopuścić do nagłego załamania się koniunktury i do bezrobocia. Dlatego też główny nacisk położony zostaje na problem pełnego zatrudnienia. Państwo zastrzega sobie kontrolę produkcji za pomocą całego szeregu środków (np. państwo kieruje akcją kredytową, polityką eksportową i finansuje budownictwo mieszkaniowe i subwencjonuje rolnictwo, leśnictwo i t. p.

Wspomniany wyżej elaborat rządu przewiduje również, że w wypadku powstania bezrobocia zostaną przeprowadzone duże roboty inwestycyjne, których sfinansowanie obciążać będzie budżet państwowy i budżety samorządowe.

Dalszą wytyczną programu jest dążenie do rozszerzenia wpływu pracowników w zarządach przedsiębiorstw. Jednakże problem nacjonalizacji jest inaczej ujmowany niż w innych państwach. Ograniczenie wolności indywidualnej, wypływającej z prawa własności nie jest przekonywującym argumentem przeciw nacjonalizacji. Wyłącznym kryterium przeprowadzenia nacjonalizacji jest kryterium gospodarcze: osiągnięcie maksimum wydajności. W związku z tym tempo przeprowadzenia nacjonalizacji musi być z natury rzeczy bardzo wolne, gdyż specjalne komisje studiów technicznych badają wydajność i warunki pracy w każdym przedsiębiorstwie indywidualnie. Obecny okres może być uważany za stadium zbierania materiałów do ewentualnego rozszerzenia zasięgu przedsiębiorstw objętych nacjonalizacją. Jak dotychczas znacjonalizowane są bowiem w Szwecji tylko poczta, telefon i telegraf, koleje, urządzenia hydroelektryczne oraz Bank Szwecji.

Jednym z głównych zamierzeń powojennych rządu było podniesienie standartu życiowego warstw najuboższych, t. j. przede wszystkim rybaków, robotników rolnych i właścicieli drobnych gospodarstw rolnych. Z uwagi na to, że podniesienie standartu życiowego jest uzależnione od stałego rozwoju produkcji, powstaje konieczność — w kraju o typie gospodarki amerykańskiej, a takim krajem jest Szwecja — stałego zwiększania się zbytu produktów krajowych na rynkach zagranicznych.

Na podstawie rozwoju wypadków na przestrzeni ostatnich dwóch lat przypuszczać można, że właśnie na odcinku wymiany handlowej Szwecji z zagranicą, nastąpiło pewne załamanie równowagi. Nie brak nawet opinii przepowiadających w najbliższych kilku latach poważniejszą depresję gospodarczą.

Powodem tych trudności jest nierównowaga bilansu płatniczego. Do powstania ujemnego bilansu płatniczego, który w 1946 r. wyniósł około 800 milionów koron szwedzkich przyczyniły się również dość hojnie udzielone kredyty towarowe (np. Holandii, Norwegii, Finlandii, Polsce), które uniemożliwiły utrzymanie równowagi w rozrachunkach ze Stanami Zjednoczonymi, Kanadą i z państwami Ameryki Południowej. Stale aktualny problem deficytu bilansu płatniczego, polega na tym, że z tytułu obrotów rozliczanych w walucie słabej Szwecja ma nadwyżkę, a z tytułu obrotów rozliczanych w walucie silnej (t. j. w dolarach) — niedobór. Deficyt ten znajduje swój refleks w zmniejszaniu się rezerw złota i dewiz zagranicznych składających się przede wszystkim z dolarów.

Ten stan rzeczy jest powodem, dla którego Szwecja:

1) wprowadziła ograniczenia importowe (zakaz importu artykułów ściśle luksusowych, jak np. zabawki, biżuteria, został rozciągnięty ostatnio na wszystkie artykuły za wyjątkiem artykułów koniecznych do produkcji, jak np. wełna, bawełna, skóra, węgiel i t. p.);

2) dąży do komprymowania konsumcji wewnętrznej na rzecz wzrostu eksportu.

Reasumując dotychczasowe uwagi stwierdzić możemy, że istnieje bezpośredni związek między obecnymi zaburzeniami w równowadze gospodarczej Szwecji, a trudną sytuacją gospodarczą i finansową wszystkich państw Europy. Jednakże zdawać sobie należy sprawę, że przeprowadzenie gospodarki narodowej przez trudny okres wydaje się w wypadku Szwecji procesem mniej skomplikowanym, niż w jakimkolwiek innym kraju Europy. Dużą tu bowiem rolę odgrywa wewnętrzna stabilizacja polityczna, stałość kierownictwa gospodarstwa narodowego oraz duże zdyscyplinowanie i solidarność społeczeństwa.

(k)

Sukcesy i hamulce

Dziesięć dni temu Warszawa obchodziła trzylecie swojego oswobodzenia. Okres trzech lat zadecydował o istnieniu miasta w ogóle i o jego rozwoju, jako stolicy kraju — na przyszłość.

Ocenę tego faktu należy przeprowadzać nie na tle obecnego stanu rzeczy, w którym Warszawa żyje już prawie normalnie, ale retrospektywnie sięgając pamięcią do zimy 1945 roku, kiedy lewobrzeżna część miasta — właściwa Warszawa była nie miastem, lecz cmentarzem po mieście.

W zimie 1945 r. powzięta została decyzja odbudowy Warszawy, jako stolicy państwa. Decyzja Rządu poparta w praktyce czynami oraz bohaterska postawa (gdyż bez obawy narażenia się na zarzut patosu określenie to jest jedynie właściwe) każdej jednostki bez różnicy na zajmowane stanowisko czy zajęcie — oto dwa momenty, które były fundamentem odbudowy.

Uwzględnienie olbrzymich trudności w odbudowie i w przywracaniu życia Warszawie uzasadnia konieczność przeprowadzenia oceny dokonanej pracy w sposób obiektywny i nie pozbawiony pewnej wyrozumiałości w stosunku do licznych niedociągnięć organizacyjnych i niesprawiedliwości, które miały miejsce w minionych latach. Pamiętać należy, że ogólna dezorganizacja i stopień zniszczenia wszystkich działów gospodarstwa narodowego potęgował w latach 1945 — 1946 trudności związane z odbudową Warszawy.

W okresie 1945 — 1947 położony został głównie nacisk na odbudowę komunikacji i odbudowę budynków i gmachów dla urzędów i instytucji publicznych. Natomiast udział państwa w finansowaniu budownictwa mieszkaniowego był w stosunku do istniejącego zapotrzebowania bardzo nieznaczny. Stwierdzić należy, że przeznaczenie będących do dyspozycji — środków materiałowych i finansowych w pierwszym rzędzie na budowę gmachów publicznych, miało w pierwszych latach odbudowy swoje uzasadnienie. Nie ulega bowiem wątpliwości, że normalne warunki pracy w instytucjach publicznych w stolicy kraju mają poważny wpływ na usprawnienie organizacyjne ośrodka dyspozycyjnego całego aparatu administracyjnego i gospodarczego.

Jednakże budownictwo mieszkaniowe jest w chwili obecnej zadaniem najważniejszym. Polepszenie warunków mieszkaniowych ludności stolicy jest konieczne zarówno dla zapewnienia większych rezultatów pracy, jak i dla umożliwienia ludności stolicy normalnego życia rodzinnego.

Wprowadzone w życie w 1947 r. ulgi budowlane stworzyły możliwości mieszkaniowe jedynie dla grup ludności finansowo silnych.

W związku z powyższym najważniejszym zadaniem w roku bieżącym jest:

1) uwzględnienie w budżetach poszczególnych urzędów i instytucyj państwowych środków finansowych na budowę mieszkań, tak, aby instytucje te i urzędy były w możności zapewnić mieszkanie wszystkim tego potrzebującym pracownikom.

2) jak najdalej idąca pomoc ze strony państwa w odbudowie mieszkań spółdzielczych.

Podkreślić bowiem należy, że odbudowa mieszkań w ramach spółdzielni mieszkaniowych jako zgodna z realizowanymi zasadami ustrojowymi i socjalnymi zasługuje na specjalne uprzewilejowanie.

Wspomnieć również musimy o tym, że stosowany obecnie warunek oddania do dyspozycji Wydziału Kwaterunkowego pewnej części powierzchni odbudowanej wzamian za udzielony kredyt inwestycyjny nie może być uznany za słuszny w odniesieniu do spółdzielni mieszkaniowych. Warunek powyższy jest w istniejącym stanie rzeczy jednym z głównych hamulców w rozwoju spółdzielczego budownictwa, mieszkaniowego, gdyż właściciele zniszczonych mieszkań spółdzielczych, należąc z reguły do niezamożnych grup ludności, nie są w możności przeprowadzenia odbudowy bez pomocy finansowej ze strony państwa.

Postawienie budownictwa mieszkaniowego na pierwszym planie w ogólnej odbudowie Warszawy oraz usuwanie istniejących obecnie hamulców — zależy wyłącznie od decyzji władz państwowych. Przeprowadzenie tej decyzji jest rzeczą ważną, gdyż jest najlepszą drogą prowadzącą do pełnej normalizacji życia stolicy. Pamiętać również należy, że wysiłek finansowy włożony w budownictwo mieszkaniowe jest najważniejszą inwestycją, gdyż inwestycją w człowieka.

Czytelnik uważa, że...,

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

W numerze 3 (112) „Dziś i Jutro" znalazłem ciekawy i dokumentarny artykuł, podpisany inicjałami „dh", omawiający treść dwóch numerów emigracyjnego pisma „Kultura". Inicjatywa sama w sobie wydaje mi się nad wyraz słuszna. W przeciwieństwie do postawy emigracyjnej, odcinającej się całkowicie od kraju i rodaków, publicystyka polska winna poznawać naszą opinię publiczną z poglądami emigracji objektywnie, krytykując surowo, to co na naganę zasługuje, podnosząc to co rozsądne czy rzeczowe.

Nie mogę jednak zrozumieć celowości zamieszczenia w tej recenzji passusu pióra p. W. Zbyszewskiego, atakującego w sposób niewybredny i niesmaczny działaczy chrześcijańskiej demokracji — Korfantego, Popiela i ks. Kaczyńskiego. Choć zgadzam się całkowicie z wnioskami, że działaczy tego typu niesposób porównywać choćby z Bruenningiem i Schuschniggiem, choć krytyka, nawet ostra, ich działalności wydaje mi się być w znacznej mierze usprawiedliwiona, to uważam jednak przedruk wspomnianego urywka za całkowicie zbędny. Mimo negatywnego komentarza redakcja „Dziś i Jutro" bierze mimo wszystko na siebie pełną odpowiedzialność moralną za powtórzenie na swych łamach zwykłej ordynarnej napaści.

1. Tego rodzaju zarzuty, jakie zostały postawione p. Popielowi, czy ks. Kaczyńskiemu można tylko wówczas uważać za dopuszczalne, gdy są natychmiast poparte faktami. Pan Zbyszewski zadowolił [illegible] Postąpił więc Zbyszewski niezgodnie z obowiązującymi nas zasadami etycznymi.

2. Nie było powodu do przedruku w „Dziś i Jutro" tej wypowiedzi, nawet z negatywnym komentarzem. Rzecz ukazała się w piśmie emigracyjnym, więc nie mającym **debitu** w Polsce, przeto mogła być znana najwyżej paru osobom. Świadomie czy nie, „Dziś i Jutro" przyczyniło się do kolportowania tej napaści.

Zdaję sobie sprawę w jakiej mierze działalność tych polityków zasługuje na krytykę, czy nawet na potępienie. „Dziś i Jutro" miało dotychczas, i sądzę, że będzie miało nadal wiele okazji do wypowiedzenia się w tej sprawie, jednak nie powinno tego czynić przez cytowanie cudzych niesmacznych wystąpień.

Pismo nasze hołdowało do tej pory zasadzie walki o wysoki poziom naszej publicystyki, zwłaszcza na płaszczyźnie polemik i sporów. Uważam, że redakcja powinna iść dalej po tej samej linii i unikać wystąpień, które by kładły cień na tej wartościowej tradycji.

Władysław Żegocki

DO RED. „DZIŚ I JUTRO"
UMBRA AURICULI ASINI

Cień oślego ucha ostatnio ukazał się nad noworocznym numerem w postaci artykułu na str. 2-ej p. t. „Musica Sacra". Czytamy tam: „Jednak melodie gregorjańskie na dłuższą metę stosowane nużyły słuchaczy". A dalej: „Trzeba zaznaczyć, że melodie gregorjańskie najbardziej nadają się w kościołach klasztornych, a poza nimi tylko w okresach smutnych, mianowicie: poście wielkim, adwencie, oraz egzekwiach".

Tak mówi o najprzedniejszym śpiewie kościoła organ, którego redaktorów mianuje władza kościelna. Skąd autor tego artykułu wie, że śpiew gregorjański nużył słuchaczy, gdy ja wiem, że z najdalszych dzielnic Warszawy ludzie przychodzili na ósmą rano do katedry, aby mszę po gregorjańsku śpiewać. To co boże, czyż może być samo w sobie nudne? Jak może katolicki organ oficjalny wyrażać się w ten obelżywy sposób o śpiewie, który najklasyczniej wyraża dogmat, tajemnicę i modlitwę Kościoła. No, bo żeby jeszcze autor powiedział, że to ludzie go nudnie wykonywują, co zdarza się niestety, bo zarówno kapłani, jak i wierni karygodnie go kaleczą; ale twierdzić, że melodie gregorjańskie na dłuższą metę nużyły słuchaczy, to jest oszkalowanie tego, co sakralne. Haec vox de mundo est non de Ecclesia. Są tacy, których nuży jakiś wykład profesora, dobra powieść, jakiś system filozoficzny, czy społeczny; znam ludzi, dla których Chesterton jest nużący i nudny; nic dziwnego, że p. Urbanowicza mogą nużyć najwyższej klasy melodie, tchnące katolickim uniwersalizmem i świętością... Ale czyja w tym wina? Gdzie przyczyna? Hej, Tygodniku Warszawski, dokąd Ty nas prowadzisz? Przecież to nie dogmaty, nie nauka, nie brewiarz i nie śpiew gregorjański są nudne, ale autor tego artykułu i jemu podobni mają krzywe dusze, zwyrodniały smak i zjełczałe uczucie, niezdolne dostrzec w tych gregorjańskich perłach piękna tak dawnego i tak nowego. Jak słusznie mówi przysłowie rosyjskie: Nie pienial na zierkało koli morda kriwa".

Autor art. „Musica Sacra" daje rady Kościołowi: podszeptuje, że śpiewy gregorjańskie najbardziej nadają się na okresy smutne: post wielki, adwent, egzekwie. Innego zdania byli Papieże i to tacy, jak św. Grzegorz Wielki, Pius X, XI i obecny Pius XII, którzy śpiew gregorjański za najodpowiedniejszy dla Kościoła ogłosili, strojąc w te melodie cały rok liturgiczny i nakazując kierowniczym czynnikom kościelnym, aby je śpiewał lud, nie tylko w adwencie, czy poście, ale we wszystkie pory roku kościelnego. Ci, co są ośpiewani melodiami gregorjańskimi wiedzą, że one są ani smutne, jak romanse cygańskie, ani wesołe, jak rumby, ale są jednocześnie tchnące skruchą i radosne życiem wiecznym, jak ŚWIĘTOŚĆ.

Poza tym skoro się nie wie lepiej milczeć. Zalecam przeczytanie Seneki (De tranquilitate animae 17—10).

Z poważaniem
Z. J. — Warszawa

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Zdarzają się wypadki, że samotnie mieszkającemu studentowi Urząd Kwaterunkowy dokwateruje współlokatora do pokoju uważając, że zajmuje on zbyt dużą powierzchnię (oczywiście zajmując tylko jeden pokój). Czy nie jest to przypadkiem źle pomyślane, bo chyba jasne jest, że mieszkając razem z kimś obcym (czy może nawet z kimś z rodziny) student ten siłą rzeczy przedłuży czas swych studiów, co, szczególnie dziś wobec braku ludzi z wyższym wykształceniem, wobec wymordowania znacznej części inteligencji przez Niemców, może przynieść dla Państwa większą stratę niż, może nawet wybudowanie jednego pokoju.

L. G.

Uwaga!

Poszukuje się najbliższej Rodziny ś.p. Jana Radońskiego mgr. praw U. W. słuchacza wyż. farmacji Uniwersytetu Stefana Batorego, poległego śmiercią lotnika 21 listopada 1944 r. w Anglii.

Zgłoszenia do Redakcji „Dziś i Jutro" dla J. H.

Jan Józef Szczepański

Wiosna — lato — jesień

Mały, śmieszny ptaszek, rozkraczony na gałązce nadrzecznej wierzby. Nie ma nawet metra między moją głową a nim. Poprawia się w swojej postawie prowincjonalnego tenora, przekrzywia łebek i pogwizduje przez nos. To jest tylko próba. Nasłuchuje przez chwilę z uwagą, potem wydyma brzuszek i wydaje serię krótkich, gardłowych ćwierknięć. Nabiera animuszu. Dziób zaczyna pracować z niesłychaną szybkością, poprzez długą, skomplikowaną frazę pogwizdów i gardłowych nawoływań słychać, jak jego górna i dolna część strzygą drobno z odgłosem podobnym do szelestu cienkiej bibułki. Gardło i brzuszek falują intensywnie i widać, że całe ciało śpiewaka bierze udział w koncercie. Milknie na chwilę i jako finał rzuca kilka przenikliwych, pytających skrzeknięć.

Teraz podskokiem robi zwrot, strzepuje parę razy ogonkiem z lekkomyślnością i prostotą, i przekrzywiwszy okrągłą głowę, zaczyna od nowa.

Umie swój repertuar na pamięć. Nie myli się i nie nuży. Nawet ruchy powtarza z nieomylną precyzją. Czasem jakiś drobny wariant, ale trzy podstawowe części kompozycji są obserwowane i następują zawsze w niezmiennym porządku.

Słucham i patrzę oczarowany. Nie mogę oderwać oczu.

Dla kogo jest ta piosenka? Czemu służy?

Czy w ten gwarny, słoneczny dzień ptaszek liczy na jakieś własne audytorium?

Ze wszystkich stron gadają i śpiewają sąsiedzi. Przekrzykują się, podniecają wzajemnie, pozornie nie zwracają na siebie żadnej uwagi. Czy każdy z nich kocha się po prostu we własnej sztuce?

Mój ptaszek zaczyna po raz setny swoją zwrotkę. Nagle przerywa, podskakuje uradowany i odlatuje z pośpiechem na najbliższe drzewo, gdzie znowu przez dziesięć minut powtarzać będzie to samo.

Czuję się zupełnym profanem. Co to wszystko znaczy? Może nie znaczy nic ponad sam śpiew?

Ta myśl jest niepokojąca. Zahacza o coś w rodzaju doskonałości.

***

Póki czas złapać jeszcze tę wiosnę za poły, przytrzymać ją, dotknąć ręką.

Dzisiaj jest taki gwałtowny, gniewny wicher, który rano przepędzał przekorne, słoneczne uśmiechy, a w tej chwili zatłoczył niebo biegnącymi trwożnie stadami chmur. Z gwizdem i krzykiem gna je do jakiejś kosmicznej rzeźni. Tupoczą po blaszanym dachu, a potem tuman pyłu uderza w szyby.

Może tam z południe idzie już lato i przed nim ta szalona ucieczka?

Najwięcej cierpią drzewa. Mówią „aaach" i „eheu" jak bohaterowie greckich tragedii. Jabłonie przeczuwają koniec swego dziewictwa i drżącymi ramionami przytrzymują ulatujące kwiaty.

Wokół rozgrywa się jakiś piękny i bolesny dramat. Jego szlachetni aktorzy toczą niezrozumiałą, pełną grozy, dostojeństwa i lamentu walkę.

I teraz naprawdę, choć niejasno, czuję zawrotny pęd czasu; pęd tak chyży, że porównać go mogę tylko z bezruchem, w którym każda rzecz przegoniła już siebie, stała się raz na zawsze, a właściwie nie stała się nawet, tylko poprostu j e s t.

***

Chodzę z wonnym plastrem upału na piersiach, bowiem jest lato. Nie chcę mówić banałów, a jednak: gorąca skiba miodu, pachnąca zbożem, rudziejąca czerwienią maków, dzwoniąca sennym gwarem pszczół... i zakrzepły w ciężkiej słodyczy, leniwy owad samolotu.

I jeszcze inna twarz lata: popiół spalonego nieba osiadł szarą warstwą na martwych liściach drzew przydrożnych. Mrówki rozszarpują drapieżnie nabrzmiałego trupa ropuchy na środku ścieżki. I gdzie są ptaki? Gdzie się do cholery podziały ptaki?

Ach, uschły pewnie na dnie swych gniazd, wśród białego śmiecia jajczanych skorup.

***

Planty wieczorem są dusznym i zatłoczonym tunelem. Na ławkach siedzą ludzie lepcy od potu, wysapujący z zadowoleniem swoją całodzienną nijakość. Spojrzenia mają mętne i szeroko rozstawiają kolana, jakby chcieli przewietrzyć sobie kalesony.

Znacznie sympatyczniejsi są ci, co idą. Może dlatego, że mniej bezczelnie trwają.

Idą idą i idą — nieustanna procesja pleców, albo połyskujących szkliście zębów i białek. Nurkują w gęstym cieniu, wypływają znowu pod sklepionymi stropami nastrzępionych światłem liści. Kuliste łysiny podskakują śmiesznie, jakby igrał nimi ciemny prąd rzeki. Z daleka, z najgłębszego mroku sunie chwiejnie naprzeciw rozżarzony węgielek papierosa. Wydaję się sobie porządny i inteligentny. Dosyć porządny i dosyć inteligentny. Może dlatego, że nie jestem spocony.

Pochód przecina poprzeczny i jasny nurt ulicy. Szeroka wstążka niebieskawej łuski bruku, śliskie, żółte strumyczki szyn, tramwaj nadęty ciepłą różowością. Ludzie wahają się trochę i przechodzą przez jezdnię, jak przez wodę.

Wydaję się sobie wrażliwy. — Dosyć wrażliwy. Ale tyle myśli i słów wysiano już przede mną, że ledwo resztki zostały na dnie przetaku.

W chłodną pieczarę po drugiej stronie wszyscy wchodzą z uczuciem fatalistycznej ulgi. Spieszno im stracić kontury i zgubić kamienne echo kroków. Jakaś śmieszna, starsza para. On w godnej, niezgrabnej, luźno wiszącej marynarce, opadających bryczesach i myśliwskich skarpetkach na patykowatych łydkach. Ona w czarnym, słomkowym kapeluszu o ogromnym rondzie i w dostojnie zwiędłej sukni, okrywającej zwiędłe pośladki.

Próbuję zmusić się do inteligentnej refleksji. Mogę wymyślić tylko banał i nie umiem banałowi się oprzeć „Dokąd oni idą tym drepczącym, staromałżeńskim kroczkiem?" Od Prousta, od Przybyszewskiego, od Boya — stygnąc godnie ze wzruszającą wytrwałością zaprzysiężonych wędrowców. Idą do domu na kolację. Ona odgrzeje mu kotlet z obiadu.

A dokąd ja idę? — Na dworzec, dowiedzieć się o pociąg do Kocmyrzowa.

***

Potrzeba kompozycji i to kompozycji cyklicznej jest jednym z życiowych instynktów. Powracanie do miejsc, uczuć, widoków, ludzi... To jest źródło filisterskich nawyków i to jest klasyczny wzorzec sztuki.

Gdyby nie to, że przerzedzono zwarty front dębów i że znana sylweta lasu rozstąpiła się środkiem, ukazując ukryte dotychczas kulisy filigranowego brzeźniaka, byłoby zupełnie tak samo. Kiedy trawiastą ścieżką pójść na prawo, popod nisko zwisającymi gałęźmi, nie można dostrzec żadnej różnicy.

— Właściwie nic się nie zmieniło — mówi ona — i jest zupełnie zwyczajnie.

Dzień jest bez blasku. Słońce po za cieniutką warstewką wysokich chmur, grzeje równomiernie i dyskretnie, a perłowo-mleczne niebo wyraziście odbija dojrzałe kolory jesieni. Pod stopami suchy szelest.

— Czujesz, jak pachną liście?

Tak tu na brzegu lasu jest zwyczajnie, ale z drugiej strony, poza nim istnieje coś, czego dawniej nie było. Jakaś wyrwa — ciemne jądro pustki. Aż tu dociera wiejący stamtąd chłód.

Teraz milczymy, bo za chwilę przez gałęzie zaczerwieni się daleki dach domu.

— Widzisz dom?

Pochyły, przypłaszczony masyw sadu, spieniony u góry czubami wielkich orzechów i kasztanów, wśród których ostrą bielą rysuje się fragment ściany i jasną czerwienią ukośny spadek dachu.

— Popatrz: zupełnie tak samo. Zupełnie.

Idziemy wzdłuż żywopłotu dzikiej róży i coraz nam chłodniej. W ogrodzie te same ścieżki i te same grządki, ten sam klomb przed gankiem, ta sama ławka. Tak samo jak dawniej narożnik opleciony winem, podchodzącym pod okna. Otwarte okno. Stąd widać było stary sztych, wiszący naprzeciw: dwa arabskie konie o głowach jaszczurek. Jak chłodno.

— Tam nic nie ma. Nic. Absolutnie nic.

— Wracajmy.

Cykl zamknięty. I oto problem kompozycji: tragiczna złudność cyklicznego ruchu. Ta złudność należy do reguły. Jest niezmienna.

***

Żeby spisać wszystkie słowa, które wypowiedziało się w ciągu dnia, pokryłoby to kilkadziesiąt stron. Ale tylko dwa czy trzy z nich warto podkreślić i powtórzyć. To są nerwy w mdłym mięsie życia.

Usta są najwytrwalszym organem; najmniej się męczą i najmniej się dziwią. Z jednakową łatwością składają modlitwę, jak i nieprzyzwoity dowcip. Mowa najlepiej oswaja świat i najpewniej prowadzi do filisterstwa. Dzięki umiejętności nazywania rzeczy, szczyt ogromnej góry staje się równie zwykły, jak kosz na śmieci na rogu ulicy.

Dziś mógłbym zanotować tylko imię gwiazdy Attair. Pewnie dlatego, że brzmi niezwykle i że oznacza coś tak nieludzko odległego, że jak o tym pomyśleć, cieniutkie niteczki chłodu przebiegają po żyłach.

Ten element kontrastu i niezwykłości potrzebny jest choćby jednym dreszczem w każdym dniu, jeżeli nie chce się przejść przez życie siłą przyzwyczajenia.

Jan Józef Szczepański

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyna. Wydawca Kolegium Redakcyjne
Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O — Nr I-727
Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30
Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.
Druk. Skolimowska 6.
B-46905